№ 5. Warszawa, dnia 19 (31) Stycznia 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

LOSY DWÓCH NIEWIAST.

SZKIC Z DZIEJÓW SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU SZESNASTYM

PRZEZ

L. S. W.

(Dokończenie.)

Nie powiodło się jednak Halszce i jej przyjaciołom odnieść tryumfu nad Łaskim, wówczas bardzo potężnym, a zawsze przebiegłym i przewrotnym; nie udało się uwolnić Beaty przed powrotem jej męża z Paryża, jak o to usilnie prosili Ostrogscy cesarza. Wojewoda wrócił z królem Henrykiem i ze swoją Francuzicą, hardy i butny, lekceważąc opinią i chwaląc się swojem dwużeństwem. Za pieniądze Beaty otaczał się takim przepychem, że jak świadczył Orzelski, przybyli wówczas do Krakowa posłowie tatarscy mniemali, że to nie Henryk, ale Olbracht Łaski jest w Polsce królem. Ufając we względy króla, nie dbał o nikogo. Ażeby zabezpieczyć się w sprawie Beaty, użył przebiegłego, a z przewrotną naturą swoją zgodnego środka: postarał się o przebłaganie cesarza Maksymiliana i zawiązał w tym celu na nowo stosunki z Dudyczem. Po zdradzie, której dopuścił się niedawno względem stronnictwa cesarskiego, zdradzał teraz stronnictwo królewskie: zwolennik króla Henryka zapewniał Dudycza, że „uważa się teraz i nadal za wiernego poddanego jego cesarskiej mości.” Przytem Dudycz miał tak wysokie wyobrażenie o wpływach Łaskiego i użyteczności jego usług, że cesarz dał się ułudzić. Okazana początkowo przez Maksymiliana energia w sprawie Beaty, znacznie osłabła — względy sprawiedliwości ustąpiły przed względami politycznymi...

W jednem tylko Halszka i jej przyjaciele mogli pochlubić się powodzeniem, wprawdzie częściowem, a mianowicie w kwestyi dóbr, przez Łaskiego sobie przywłaszczonych. Wojewoda bowiem może dla zwalenia z siebie choć części tylu ciężkich zarzutów, a prawdopodobniej obawiając się potężnego rodu Ostrogskich i jego przyjaciół, zgodził się na układ względem majątków Beaty i Halszki. Układ ten przeprowadził znany ze swych pamiętników Jewłaszewski, podsędek nowogrodzki, a król Henryk zatwierdził go w lutym 1574 roku.

Łaski musiał oddać Ostrogskim rodowe dobra Halszki i Beaty; zatrzymał sobie jednak kilka zamków w posiadanie dożywotnie, cały spadek Beaty po bracie, a nadto kazał sobie wypłacić ogromną na owe czasy sumę — około 50,000 złp., tytułem posagu Beaty i innych pretensyi. Rzecz dziwna, że w tym układzie nie było mowy o uwolnieniu Beaty z więzienia: niewątpliwie Ostrogscy tego żądali, ale Łaski zapewne odmówił stanowczo i w tym jednym pukcie musiał być nieubłaganym, do żadnych ustępstw niesklonnym, tak, że rodzina Halszki, w obawie zupełnego rozchwiania się układów, widziała się zmuszoną poprzestać na ugodzie majątkowej, chociaż niezbyt dla ksiąząt korzystnej, gdyż Łaski, jak widzieliśmy, nietylko, że nie wyszedł z tej umowy z próżnemi rękami, nietylko, że nie zapłacił nic prawym posiadaczom dóbr przez siebie zagarniętych, ani nie zwrócił pobieranych nieprawnie w ciągu tylu lat dochodów, ale zapewnił sobie wcale pokaźną cząstkę.

Co się tyczy jawnego dwużeństwa, Olbracht Łaski z dziwną bezczelnością przyznawał się do tej zbrodni w listach swych do cesarza, dodając, że w tej kwestyi poddaje się wyrokom cesarza. Ciekawa rzecz, jak miał sobie począć Maksymilian w tej sprawie? Nie począł też nic wcale. Tymczasem Łaski, jakby dbając jedynie o to, aby coraz to nowemi winami obarczać swą głowę, a od żadnej niemal zbrodni, od żadnego przestępstwa nie pozostać wolnym, dopuścił się nowej awantury: usiłował otruć swoją nową świekrę — matkę owej Francuzki, którą w Paryżu poślubił.

Nie udało mu się jednak; matka z córką uciekły do klasztoru i podały ztamtąd do króla skargę na Łaskiego. Niechęć i oburzenie powszechne względem wojewody wzrosły na nowo.

Chcieli skorzystać z tego Ostrogscy i przychylny im, a nieprzyjaźny Łaskiemu Dudycz. Ten ostatni, donosząc cesarzowi z oburzeniem o nowych sprawkach wojewody, uważał za stosowne przypomnieć sprawę Beaty, o której uwolnienie nalegali Ostrogscy. Dla zjednania cesarza pisał także Dudycz, że książęta są gorliwymi stronnikami rakuskimi i gotowi są działać w interesie Maksymiliana.

Niewiele jednak pomogło to wszystko i cesarz, po dawnemu, zwlekał.

Król Henryk pozostawił również bez skutku skargę Francuzek, a i duchowieństwo, oszczędzając Łaskiego, jako świeżo nawróconego, a wpływowego katolika, patrzało przez szpary na oburzające pogwałcenie sakramentu małżeństwa.

Ucichła więc wrzawa, tembardziej, że Łaski pogodził się wkrótce z owemi kobietami i żył znowu z Sabiną, (pozostawili czworo dzieci, z których dwoje przyszło na świat za życia Beaty). Nieszczęśliwa prawa małżonka pozostawała ciągle w więzieniu, a siedziała tam już tak długo, że ludzie zapomnieli o niej i oswoili się pomału z nową małżonką Łaskiego. Sarkali wprawdzie jeszcze niektórzy, użalając się na „drzemiącą i gwałconą" w Polsce już wtedy sprawiedliwość, ale i to jakoś ucichło.

Wkrótce, po ucieczce Henryka, zostało nowe bezkrólewie. Łaski, jako jeden z filarów partyi królewskiej, przez czas jakiś nawet odegrywał główną rolę w kraju i rządził w Krakowie. Jednocześnie swoim obyczajem, dbając o dochody, pragnął siedzieć na dwu stołkach i wznowił stosunki z Dudyczem, i cesarzem, przymawiając się skromnie o pieniądze. Niebawem wziął czynny i wybitny udział w zamieszkach bezkrólewia i dopuszczał się gwałtów publicznych, napadł zbrojnie na Lanckoronę, porwał młodą panią Wodzicką, samego Wodzickiego więził i torturował. Pomimo pozwów i sądów, uchodziło mu to bezkarnie, tak wielkie znaczenie posiadał wtedy w kraju. W październiku 1574 roku, studenci i motłoch krakowski, zburzyli i splądrowali zbór protestancki: i w tej także burdzie wziął udział Łaski, a nietylko, że to mu uszło bezkarnie, ale owszem uważane było przez zbyt gorliwych biskupów za zasługę, za objaw gorliwości nawróconego dysydenta i przyczyniło się do zapewnienia bezkarności wszystkim oburzającym wybrykom wojewody. Słynny kardynał Hozyusz, głośno i publicznie chwalił tę burdę, a dla jej uczestników zażądał nie kary, lecz nagrody...

Śród takich okoliczności, trudno było spodziewać się ulżenia losu nieszczęśliwej Beaty, chociaż książęta Ostrogscy, niezrażeni dotychczasowem niepowodzeniem, nie przestawali kołatać do cesarza, który sam jedynie mógłby uwolnić księżnę. Znany nam starosta Rueber wystąpił, jako najżyczliwszy przyjaciel Beaty i wstawiał się za nią do cesarza, ale, znowu w skutek pobudek polityki, nadaremnie. Cesarz milczał i Beata pozostawała uwięziona, wtedy już nawet, jak się zdaje nie w zamku, ale w pospolitem więzieniu kesmarskiem, pod władzą i dozorem samego Ruebera. Widocznie przeniósł ją tam Łaski, nie bez milczącego zezwolenia ze strony cesarza, który potrzebował pomocy wojewody, zamierzając osobiście ubiegać się o koronę Polski, na zbliżającej się elekcyi. Posiadamy błagalny i żałosny list Beaty do Ruebera, pisany z więzienia kesmarskiego, w kwietniu 1575 roku. Nieszczęśliwa kobieta, nazywając okrutnego małżonka tylko „panem Łaskim", a z nienawiści ku niemu, podpisując się dawnem swem nazwiskiem „Beata, księżna Ostrogska", błagała o wolność, ażeby mogła jeszcze ujrzeć przed śmiercią swą córkę i w wyrażeniach wymownych kreśliła swój los opłakany, dzieje dziesięcioletniego uwięzienia, bez żadnej winy. Cesarz pozostał głuchym na te jęki. Zajęty był kandydaturą do tronu polskiego, a Łaski był prawą jego ręką i bawił długo w Wiedniu przy jego boku, po dokonaniu już podwójnej elekcyi w Polsce, gdy jedni, jak wiadomo, okrzyknęli królem Maksymiliana, drudzy zaś obrali Stefana Batorego.

W następnym dopiero roku miał rozstrzygnąć się los Beaty, miała nastąpić mała ulga w jej położeniu, ale zapóźno. W lipcu 1576 roku Rueber wyjednał nakoniec u cesarza i Łaskiego, że pozwolono mu przenieść Beatę z więzienia kesmarskiego na wolny pobyt w Koszycach, ale skołatana i schorowana, już przeszło siedmdziesięcioletnia niewiasta, we dwa miesiące potem zakończyła życie w Koszycach. Ciało jej przewieziono do Kesmarku i pochowano tam w kaplicy zamkowej.

Taki był koniec córki Zygmunta I, niewiasty dumnej, samolubnej i despotycznej, która poświęciła szczęście swego dziecka dla własnych widoków, ale ciężko odpokutowała swe winy, podpadłszy przemocy, jednego z najgwałtowniejszych magnatów owego czasu. Halszka musiała zachować niechęć i urazę względem matki, gdyż nie starała się nigdy jej odwiedzić. Beata zmarła nie ujrzawszy córki, już od lat dwunastu.

Prześladowca nieszczęśliwej księżnej żył jeszcze długo, śród rozmaitych przygód i kolei losu.

Będąc tym razem, po upadku stronnictwa francuzkiego, niezachwianym zwolennikiem Maksymiliana, a przeciwnikiem Batorego, spędził lat kilka na wygnaniu, żebrząc o wsparcie u Rudolfa II-go, następcy Maksymiliana i podróżując po Anglii, gdzie błyszczał na dworze Elżbiety, odbywał uczone dysputy w uniwersytetach angielskich, a swoją ogładą i nauką zyskał u Anglików tak wielkie uwielbienie i pozostawił tak chlubne wspomnienie, że nawet Szekspir w „Straconym trudzie miłosnym" pod imieniem Armanda przedstawił naszego Olbrachta Łaskiego. Umiał widocznie wojewoda zyskiwać sobie względy ludzkie, przybierając wszelkie cnotliwe i błyskotliwe pozory.

Jednocześnie odstrychnął się od partyi rakuskiej i prowadził konszachty z Iwanem Groźnym, obiecując dopomódz mu do pozyskania tronu Polski...

Wrócił jednak do kraju w ostatnich latach Batorego i pogodził się z królem. Po śmierci Stefana, rzecz dziwna, znaleźli się znowu tacy, którzy, według wyraźnego świadectwa korespondencyi nuncyusza papiezkiego, w liczbie kandydatów — Piastów, godnych korony, obok Jana Zamojskiego, Stanisława Górki, Mikołaja Firleja, Andrzeja Tęczyńskiego i Konstantego z Ostroga, wymieniali także Olbrachta Łaskiego. Sam Łaski tym razem był zwolennikiem stronnictwa szwedzkiego, bronił Zygmunta III, odbywał z nim wyprawy do Inflant i Szwecyi, raz nawet podobno ocalił mu życie w Sztokholmie i zmarł poważany, łaskami króla obsypany około roku 1605, po długim i burzliwym żywocie, którego lepszy i chlubniejszy koniec zmusił spółczesnych, a nawet po części i potomność, do zapomnienia o wszystkich wybrykach jego młodości i dawniejszych gwałtach.

Pozostaje nam jeszcze dopowiedzieć słów kilka o końcu Halszki. Nieszczęśliwa ta kobieta zmarła wdową na zamku ostrogskim 1583 roku, przeżywszy zaledwie lat 44 i nie zawarłszy już powtórnych związków z Ostrorogiem. Większość historyków podaje, że umarła w obłąkaniu, ale zdaje się, że tak nie było: słaba umysłem i charakterem w ciągu całego życia, szaloną jednak nie była, jak twierdzi A. Przezdziecki, który miał w ręku akta i umowy, sporządzone przez księżną Halszkę, przed samym zgonem.

Pochodząc ze świetnego rodu, po ojcu i matce należąc do najwyższych sfer, bogata i obdarzona wszystkimi darami fortuny, Halszka nigdy nie zaznała szczęścia i przyniosła same tylko nieszczęścia tym wszystkim, w których ręku była bierną igraszką.

Takie były smutne losy owych dwóch kobiet, które napełniły świat rozgłosem swych przygód. Odświeżyliśmy tu w krótkości pamięć ich dziejów, jako ciekawą i pouczającą, a częstokroć do smutnych rozmyślań pobudzającą kartkę z przeszłości wysokich rodów w Polsce na schyłku wieku szesnastego.

DUMKA.

Wychodziła na Tatara
Kozacka drużyna,
Wyprawiała matka stara
Jedynaka syna.

Krzyżem świętym przeżegnała,
Pobłogosławiła,
— Synu, synu, zapłakała,
Czeka cię mogiła.

Za kozaczą naszą wiarę,
Głowę dasz kozaczą,
Już cię oczy moje stare,
Nigdy nie zobaczą.

Na Tatara wychodziła,
Cała Ukraina,
Żegnała kozaka miła,
Kochana dziewczyna:

— Leć mój miły — mój sokole,
Na tatarskie szlaki,
Na bój krwawy, w czyste pole,
Poprowadź kozaki.

Broń kozaczej świętej wiary,
A pamiętaj o mnie,
Leć mój drogi — bij Tatary,
I powracaj do mnie!

Wyruszyła na Tatara
Cała Ukraina;
Długo płacze matka stara,
I młoda dziewczyna.

Stara matka nie czekała,
Aż jej syn przybieży,
Stare oczy wypłakała,
I w mogile leży.

Wicher szumi, wicher wieje,
Stare drzewa zgina;
Czemuż dawno się nie śmieje,
Młodziutka dziewczyna.

Po dalekim, po obłoku,
Smutnym goni wzrokiem,
Brylantowa łezka w oku,
Czarna brew nad okiem.

Zbladło czoło marmurowe,
Łzy się z oczu leją,
Już się usta malinowe,
Nigdy nie zaśmieją.

Już nie ujrzy dnia jasnego,
Smutek serce tłoczy,
Nie zobaczą kochanego,
Zapłakane oczy.

Tam na stepie, w Ukrainie,
Gdzie zielone łany,
Stoi kurhan na równinie,
Na nim krzyż drewniany.

Od kurhanu cztery drogi,
W cztery strony świata,
Ukraiński orzeł srogi,
Nad kurhanem lata.

Pod kurhanem w zimnej ziemi,
Śpią kości kozacze,
Na kurhanie po nad niemi,
Smutna brzoza płacze.

Jowita.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

I.

W pięknej okolicy naddniestrzańskiej, w obwodzie samborskim, leżała wieś Strzałkowo. Położenie jej było urocze; od brzegów Dniestru ciągnęły się rozległe pola, pokrajane w różnobarwne zagony, zbiegające się w perspektywicznem oddaleniu, niby promienie koła, ginąc wreszcie w pośród przednich straży gór Karpackich. Nad brzegami wolno płynącej rzeki, wygrzewały się żółte piaski, dalej pola świeciły jasnemi barwy, które jakby ręką mistrza cieniowane wpadały w ton coraz ciemniejszy, kończąc się na czarnych borach bukowych. Tu dopiero zaczynała się druga wstęga barw, bledszych, bo mgłą owianych, od zielono szafirowej aż do przejrzysto sinej, rysującej niewyraźne kontury grzbietów beskidu lesistego.

Powietrze lekkie, wonne, promienie słońca wesołe, wszystko zdawało się pobudzać do uśmiechu.

To też okolica była prawdziwie jak uśmiechnioną, a już najweselszym zdawał się być dwór, który zbudowany na małym pagórku, wyglądał białemi ścianami z pośród otaczających go drzew. Droga doń wiodła szeroka, obsadzona lipami i topolami, aż do sztachetowej bramy, otwartej w dzień, gościnnie dla tych, co dwór Strzałkowski raczyli odwiedzić.

Dwór był obszerny, parterowy, w guście szwajcarskim z tarasą i ganeczkami oszklonymi. Otaczały go gazony z dwóch stron od wjazdu, resztę zakrywały drzewa obszernego ogrodu, pełnego alei i ścieżynek, kląbów kwiatowych i kęp krzewiny.

W chwili, w której czytelnika wprowadzamy do dworu Strzałkowskiego, ogród był pełen kwiecia. Jeszcze nie okwitły białe czeremchy, a już bez z jaśminami na spółkę rozlewały potoki woni, ożywiając przy tem zieloność jasnemi barwami bukietów blado żółtych, fioletowych i niebieskich.

W cienistym ogrodzie na białych, brzozowych krzesełkach, siedziało kilka osób. Przed nimi stół pokryty śnieżystym obrusem — zastawiony śniadaniem, nie zbytkownem wprawdzie, ale dostatniem, a w dodatku była najlepsza przyprawa: dobry apetyt i wesołość.

Towarzystwo składało się z sześciu osób. W pośrodku siedziała kobieta, przystojna jeszcze, lat około czterdziestu; tuż przy niej dziewczynka trzynastoletnia, po drugiej stronie mężczyzna średniego wzrostu, tęgi i rumiany, śmiejący się ciągle, dalej drugi starszy nieco, szpakowaty, ale rześki i wysoki. Obok dziewczynki, widzimy chłopca lat szesnaście mającego, smukłego, a wreszcie jeszcze jedną figurę męzką, człowieka pochylonego, o cerze bladej, zeschłej, tak, że trudno było odgadnąć wiek jego.

Nie trudno poznać, że pani, stanowiąca punkt środkowy towarzystwa, była tu gospodynią, panienka obok niej jej córką, młody chłopak synem, owa męzka figura guwernerem. Po prawej stronie pani Zagórskiej siedzący mężczyzna, to ich sąsiad blizki, pan Chodecki, a ostatni to pan domu, Zagórski.

Pan Chodecki jadł zamaszyście, a śmiał się ciągle i opowiadał z humorem rozmaite facecye i historyjki sąsiedzkie.

— Tysiąc pociech, pani dobrodziejko, jak człowiek wlezie w jakie zebranie sąsiedzkie, a hrabia X. powinien dostać złoty medal od nas, bo jest prawdziwym komikiem powiatu. Ja mu zawdzięczam zdrowie i apetyt...

— A złośliwość, to już chyba tylko sobie... — wtrąciła pani Zagórka.

— Ja i złośliwość! — zawołał — ależ we mnie nie ma i cienia złośliwości, tylko trudno, pani dobrodziejko, jak zaczną opowiadać, stroić miny i przechwalać się, to boki zrywać!

— Przesadzasz mój sąsiedzie — mówił pan Zagórski.

— Jak cię kocham, że nie: nie znasz bliżej hrabiego, a ja powiadam, że boki zrywać, jak on zacznie mówić o swoich antenatach, których świat i korona polska nie znały, jak się rozgada o Wiedniu, o swoich stosunkach i wpływach, a wiadomo przecie, że chudy hrabia za antenatów miał ekonomów, a stosunki rozległe ma chyba pomiędzy żydami...

— Ej, cóżbo pan wygadujesz — protestowała pani.

— Słowo daję, pani dobrodziejko, że prawda. Dziad hrabiego kupił sobie tytuł za pożyczane pieniądze, a teraz to tam chuda fara...

— Ojciec hrabiego był podobno członkiem sejmów stanowych?

— Był — potwierdził pan Chodecki — ale cóż ztąd, nie ma się czem chwalić. Dobry to był zresztą człowiek i światły, a skromny, ale syn ani się umył do ojca. Dmie się, jakby miał złote góry i rozum za wszystkich, tymczasem...

— Niech no sąsiad nie obmawia złośliwie.

— Na honor się klnę, pani dobrodziejko, ale tak jest. Hrabia nie ma w głowie tego, co przeciętny człowiek mieć powinien w jednym palcu. Nie uczył się niczego, wychowywali go w domu licho i na tem koniec.

Guwerner podniósł na te słowa głowę i spojrzał uważniej na mówiącego. Matka zwróciła się ku dzieciom, zobaczyła spojrzenie guwernera i znudzenie syna, którego rozmowa nie mogła zajmować.

— Idźcie pobawić się trochę w ogrodzie, widzę, że wam tu nie bardzo się podoba udawać poważnych.

Syn skoczył ku matce, pocałował ją w rękę i wnet zniknął w głębi ogrodu.

— A ty, Helenko? — zapytała matka.

— Jeśli mama pozwoli?

— Ależ owszem.

Pobiegła więc i Helenka. Guwerner chciał pójść za nimi.

— Niechże się pan nie trudzi—rzekła z uśmiechem pani Zagórska — nic się dzieciom złego nie stanie, a nam przyjemne jest towarzystwo pana.

— Więc sąsiad sądzisz, że wychowanie domowe złem jest? — zapytał pan Zagórski, gdy dzieci odeszły.

— Uchowaj Boże, ale tylko do pewnego czasu, dla chłopców naturalnie.

Guwerner słuchał uważnie, nie spuszczając oka z pana Chodeckiego.

— Chłopcu — ciągnął Chodecki dalej — potrzeba uczyć się wiele, a do tego nie wystarcza jeden nauczyciel, chociażby był najmądrzejszy. Z początku może i lepiej, jak jedna ręka kieruje dzieckiem, ale później powinno się je oddać do szkół publicznych, tam są nauczyciele fachowi do każdego przedmiotu, a przy tem chłopiec poznaje ludzi, życie, nauczy się patrząc wiele, a przedewszystkiem tego, co to jest świat i jak w nim żyć i pracować. Na ławach szkolnych odbywa się pierwszą praktykę życia.

Pan Zagórski spojrzał na żonę, potem na guwernera i zapytał go:

— Co pan o tem sądzisz?

— Zupełnie się zgadzam ze zdaniem pana Chodeckiego. Ma największą słuszność po swojej stronie. Nieraz już miałem zamiar to samo państwu powiedzieć...

Urwał nagle, jakby się lękał dokończyć myśli.

— Hm, musi w tem być racya.

— Jest, jest, kochany sąsiedzie — przerwał pan Chodecki — i dlatego dobrze, że się o tym mądrym hrabi zgadało, bo należy ci przypomnieć, że twój Alfredek za długo domu pilnuje, puść go w świat.

— Nie przeczę, że słuszne są uwagi pańskie — ozezwała się pani Zagórska — ale...

— Jakie ale, pani dobrodziejko? Aha, wiem już, co to za ale, mateczka lęka się o synka, aby mu się co złego w szkole nie stało.

Przyznasz pan sam, że w towarzystwie tak mięszanem, może się chłopiec i złego nauczyć...

— Wiesz, że nie jestem arystokratą i rzemieślnikowi chętnie rękę podam, ale w szkole są obok dobrych, źli i ci mogliby mi popsuć chłopca — dodał mąż.

— A czyż chłopiec zawsze pozostanie chłopcem i wiecznie go strzedz będzie zacny jego guwerner? Przyjdzie czas, że go będziesz musiał w świat puścić, to wtedy także nie samych aniołów tylko spotka i w zetknięciu ze złymi tak samo się popsuje...

— Lepiej później...

— Nie, nie, lepiej wcześniej oddać go do szkół, niech poznaje ludzi, niech się hartuje i otrzaska

ze złem, wtedy możesz być o niego spokojnym. Życie jest ciężkie, a więc trzeba się doń przygotować w dobrej szkole — dom tu nie wystarczy.

— Cieszę się bardzo, żeście państwo usłyszeli z ust tak zacnego obywatela, słowa tyle ważne w życiu Alfreda — odezwał się guwerner. — Ja jako pedagog z zawodu muszę najzupełniejszą słuszność przyznać panu Chodeckiemu i radziłbym tak samo, jak on.

Państwo Zagórscy porozumiewali się oczyma, ale jakoś nie mogli się porozumieć.

Nastała chwila milczenia.

— Ej, państwo łaskawi — zawołał pan Chodecki — a toż nie na to zacząłem opowiadać o naszym wesołym hrabi, abyście posmutnieli. Odeślijcie Alfredka do szkół, niech go z razu pilnuje dotychczasowy guwerner, a będziecie mieli chłopaka jak złoto. Toż to tęga głowa jak mało, czyż nie lepiej go uczyć wiele, aby kiedyś zajaśniał w powiecie i w kraju!?

— Prawda, prawda, dziękuję ci sąsiedzie, za taką radę, a możeby właściwie należało podziękować hrabiemu...

— Naturalnie — zaśmiał się pan Chodecki — jemu to dank się należy. Powiem mu, żeście państwo zdecydowali się oddać ukochanego Alfredka do szkół, byle nie był takim jak hrabia...

Wszyscy roześmieli się.

— Muszę kochanych państwa pożegnać, czas mi do domu, a potem z podziękowaniem od was do hrabiego.

— Mógłbyś pan zostać — prosiła pani.

— Mógłbym?! Ależ, pani dobrodziejko, tam gdzie idzie o wyrażenie komuś wdzięczności, niewolno chwili stracić, więc spieszę...

— Niepoprawny pan jesteś.

— Trudno, pani dobrodziejko, do szkoły już za późno, a hrabia guwernerką się nie trudni.

Ucałował ręce pani, cmoknął z dubeltówki pana, uścisnął dłoń guwernera i jeszcze śmiejąc się, wsiadł pan Chodecki do bryczki, która nań już czekała przed gankiem.

Pojechał wywożąc wesołość, a zostawiając zamyślenie w tym pięknym dworku.

Kiedy państwo Zagórscy zostali sami, zapytał mąż.

— Cóż ty na taki projekt?

— Alboż wiem co mówić. Przemawia za nim wiele, ale...

— Lękasz się o Fredzia?

— Czyż może być inaczej? Wiesz jaki to chłopiec żywy, rwący się do wsyystkiego. Mogą go wciągnąć w złe towarzystwo i zwichnąć moralnie; lękam się tego bardzo.

— Ależ dziecko moje, przecież ma dobre zasady, a dla jego talentu potrzebna szkoła i wiesz przecię, że ledwo co usłyszy lub przeczyta, już pamięta doskonale. Jemu stary guwerner nie wystarcza już teraz.

— To prawda, że on bodaj czy nie więcej umie od swego nauczyciela...

— To chłopiec z głową niezwykłą...

— Prawda, prawda, ale...

— Wiesz, jak kocham Alfredka, oka z niego nie spuszczam, bo to cała nasza pociecha.

— Przecież i Helenka...

— Poczciwe dziecko, ale to już nie taka główka jak Alfreda, on może się stać chlubą naszej rodziny, jego talenta zapowiadają coś niepospolitego... Trzeba go oddać do szkół publicznych.

Matka myślała przez chwilę.

— Ostatecznie zgoda i na to. Poczciwy Chodecki przestraszył nas swojem opowiadaniem o hrabi X.

— Więc nie masz nic przeciwko temu?

— Nie, zupełnie, zresztą mamy dość czasu do ułożenia stanowczego planu. Po wakacyach pojedziemy do Lwowa, naradzimy się z kuzynami; może im oddamy Fredzia w opiekę.

— Plan doskonały — zawołał pan Zagórski — bodaj to radzić się kobiety — i ucałował żonę serdecznie.

— Trzeba o tem zaraz pomówić z guwernerem, ażeby powoli przygotowywał chłopca.

— A, tak, będzie podobno musiał składać egzamin wstępny.

Narada z guwernerem poszła gładko. Twierdził on, że Alfred umie wiele, głowę ma jasną, więc przygotuje się rychło do ogzaminu i od razu będzie mógł wstąpić do klasy siódmej.

— Mój zacny panie Kuczyński — mówił Zagórski — proszę przysposobić Fredzia dobrze, aby nam wstydu nie zrobił...

— Może pan o to być spokojnym, chłopiec ma ogromne zdolności i pamięć rzadką.

— Tylko, żeby go znowu nie zanadto obarczać pracą — prosiła matka.

Kuczyński uśmiechnął się dobrotliwie.

— Nigdy tego nie robiłem; zresztą nauka nikomu jeszcze nie zaszkodziła...

— Bądź spokojną o to, pan Kuczyński wychował już niejednego dzielnego człowieka, da Bóg i z naszym Fredziem mu się uda.

— Radbym z serca dokonać tego. Dla mnie wychowanie i nauka stały się potrzebą życia, bo to przecież najważniejsze zadanie na świecie.

Szare oczy zaświeciły się guwernerowi, na jego blade lica wystąpił rumieniec.

Pan Zagórski uścisnął mu rękę.

— Dziękuję panu.

Postanowienie wykonano.

Po wakacyach pojechali państwo Zagórscy do Lwowa, ażeby Fredzia oddać do gimnazyum. Mieli w stolicy wielu znajomych i krewnych, uradzili wszakże, aby Alfred zamieszkał przy ciotce, bogatej i światowej damie, z którą Zagórscy w dość blizkich żyli stosunkach.

Ciotka Bilska była arystokratką, bo z domu hrabianka i to bogata, a męża miała jeszcze bogatszego. Nie wiadomo, czy idąc za niego czyniła to z miłości, ale to pewna, że Bilski, kochał swą żonę bardzo i — był pod pantoflem. Chwalił, wszystko co żona robiła i mówiła, chwalił nawet to, co myślała, chociaż nie wiedział nigdy co, ale oprócz pochwał nie chciał, czy nie śmiał wypowiadać innego zdania. Cichy był, więc i małomówny w obec żony i w jej salonach. To też wszyscy znajomi bywali nie u państwa Bilskich, lecz u pani Bilskiej. Przyzwyczajono się do takiego stosunku, bo pierwszy mąż się do tego przyzwyczaił. On panem był tylko u siebie, w gabinecie swoim, pełnym ksiąg, obrazów i zabytków. Uprawiał wszystkie gałęzie literatury, nauki i sztuki. Zbierał, czytał, studyował, rzeźbił nawet i malował, ale wszystko to czynił w cichości, bez uznania, bo nie śmiał nigdy w obec żony mówić o sobie i swej pracy. Przyjaciół, którzy go odwiedzali w jego pracowni miał nie wielu, lecz niechno się który zjawił, musiał słuchać długie godziny opowiadań i zwierzań poczciwego dyletanta.

Pani Bilska przyjęła Zagórskich otwartemi ramionami, na propozycyę zgodziła się najchętniej. Była bezdzietna, więc chciała się pobawić w mentorkę i w cichości postanowiła Alfreda wykierować na człowieka, jak mówiła, światowego, którego chwała spływałaby na wychowawczynię.

Zaraz więc wzięto się do dzieła.

Alfred za kilka dni przystępował do egzaminu.

Pan Bilski, który znał kilku profesorów, miał mu utorować drogę.

— Mój drogi — mówiła piękna pani (mąż utrzymywał, że piękniejszej kobiety nie było na świecie) — zajmij się sprawą Fredzia. Ci profesorowie, to są ludzie ograniczeni, nie znają się na wyższych zdolnościach... Trzeba ich dobrze usposobić.

— Owszem, moja duszko, pomówię z dyrektorem.

— To za mało, mój drogi, to są ludzie interesowni, trzeba ich ująć sobie.

— Ale jak?

— Jakiś ty niedomyślny i nic nie znasz ludzi. Zaproś kilku profesorów do siebie, daruj każdemu to, co lubi — wszak masz tyle książek, starożytności, do niczego gratów, a oni na to są chciwi.

— Ależ moje dziecko, moje zbiory... — protestował mąż.

— Mój kochany, nie bądź skąpym, dowiedz się, co który z przyszłych nauczycieli Fredzia lubi; kup to i ofiaruj im...

— Czy to wypada tylko?

— Z takimi ludźmi wszystko wypada, choćbyś im dał gotowe pieniądze.

— Ależ...

— Nie znasz się na tem, a ja ci powiadam, że tak jest.

Bilski od dawna już przywykł do tego: „nie znasz się na tem”, więc i tym razem nie protestował.

— Zrobisz tak, jak ci mówiłam, tylko energicznie weź się do dzieła. Zaproś znajomych profesorów, obdarz ich, może zresztą znajdziesz i inne sposoby zaskarbienia ich łaski dla chłopca.

Pan Bilski, choć zrazu nie chciał się pogodzić z myślą podaną przez żonę, zabrał się wszakże do sprawy niezwłocznie.

Trzeba przyznać, że ile razy chodziło o zadowolenie żony, Bilski miał doskonałe pomysły. Ofiarował do zbiorów szkolnych kilka rzadkich okazów zwierząt wypchanych, od jednego z profesorów kupił kolekcyę numizmatów — lichą wprawdzie, ale zapłacił za nią słono, dał kolacyą o jakiej biednym pedagogom nie śniło się nigdy, przegrał do nich w karty sporą sumkę a w końcu prosił, czyby nie chcieli po za godzinami szkolnemi u dzielać lekcyi Alfredowi. Naturalnie zgodzono się na to, bo pan Bilski był człowiekiem bogatym i hojnym, mógł więc płacić wiele.

Pierwszą wielką kampanię młody Zagórski wygrał najzupełniej. Przyjęto go do klasy siódmej, nie szczędząc pochwał. Winszowano ojcu takiego syna. Talent niepospolity, on nas wkrótce głową przerośnie — powtarzali wszyscy na wyścigi.

Ojciec rad był nadzwyczaj, matka ściskała syna jak bohatera, wracającego z długoletniej wojny, pani Bilska uśmiechała się zadowolona, mąż jej był w siódmem niebie, że tak się dzielnie spisał, za co otrzymał dziękczynne spojrzenie, pełne słodyczy. Helenka śmiała się z radości, Alfred rósł w dumę i zacierał ręce, jak to ojciec zwykł był czynić; tylko guwerner Kuczyński był milczący i niby smutny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jarosław Vrchlicki.

Z cyklu poezyi: „Z GŁĘBIN". (*)

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

I.

FATA MORGANA.

Patrz, światło lampy jak miga szalenie!
W mem sercu wstaje dawny uczuć spór,
Słyszysz! — w tej długiej sali dzikie pienie
Zawodzi groźnie zimnych wiatrów chór;

Chylę ku światłu zamyślone lice,
Po niem się stacza łza żalu wylana,
Dziwne postacie mkną jak błyskawice
I w mroku nikną, jak *fata morgana.*

Tu czarodziejki oko mi połyska,
Tu struna dźwięczy, wino w czarach lśni,
Tam cudnych zamków nadziei zwaliska
I w chmurze pisze grom: „Zwyciężysz ty!"

Zgasiła lampę dzika wichrów sprzeczność,
Jak smutna rola żywota dograna,
A mnie się zdaje, że wszech światów wieczność,
Tylko wspaniałem jest *fata morgana.*

(*) Zbiorek ten wydany został w epoce młodzieńczego, subjektywnego pessymizmu poety; ztąd posępne jego tony. Ileż tu jednak potężnych rzutów, co myśli głębokich...

(*Przyp tłom.*)

STUDYA LITERACKIE.

SŁOWACY.

SKREŚLIŁ

WIKTOR CZAJEWSKI.

I.

Słowacy. — Krótki rys ich historyi. — Polska i jej tu panowanie. — Węgry. — Jedenaście lat politycznego życia. — Charakter Słowaka. — Dalsze jego usiłowania. — Trenczyn. — Początki literatury słowackiej. — Niektórzy pisarze XVI wieku. — Charakter tej poezyi. — Poezya słoweńska z końca XVIII wieku. — Holly. — Pałkowicz. — Nowi poeci: Vajanski, Kutlik. — Historyczna powieść Kubani. — Inni poeci.

(Dalszy ciąg.)

Franciszek Sasinek w swojej bardzo cennej i pouczającej broszurze „Die Slaven" (**) (str. 13), oblicza Słowaków na 3,000,000, za to podług wyznania, różnica przedstawia się nam tu jeszcze o wiele większą. Dotąd więc ogólna liczba nie jest stanowczo określona, biorąc jednak przeciętną cyfrę tych danych, otrzymamy, że Słowaków jest około 2,440,000, z których przeszło dwie trzecie jest katolików, a reszta protestantów. Czynność jednakże literacka, jakkolwiek w zakresie tylko religijnym, czysto teologicznym, jednakże prawie do końca XVIII wieku spoczywała w ręku kaznodziejów i księży protestantckich. Wprawdzie z zaprowadzeniem Jezuitów rozpoczęły się i katolickie wydawnictwa, ale w tak nieznacznej liczbie i tak nędznie pisane, że niepozostawiły prawie po sobie śladów. Katolicy przedewszystkiem unikali „erotycznego, husyckiego stylu", którego do swoich prac używali podówczas protestanci i to właśnie skłoniło katolików, dla odróżnienia się od przeciwnego sobie obozu, do użycia języka miejscowego. W końcu XVIII wieku Słowak, Aleksander Macsay, wydał pierwszy swoje katolickie kazania w mniemanym słowackim języku, w rzeczywistości jednak była to tylko słaba mieszanina form słowackich z czeskiemi. Tytuł tej książki brzmiał: „Chleby prvotin neb kazani na nedele celého roku" w Ternawie 1718 roku. Wszystko to powoli dążyło do tego, aby rozdwoić Słowaków między sobą, i rzeczywiście w krótkim przeciągu czasu udało się to w zupełności dokonać, kiedy Józef Ignacy Bajza, rozpoczął swoją płodniejszą działalność na polu literackiem, między rokiem 1783 a 1820.

Wydawał on książki różnej treści, między innemi największego rozgłosu doznały: „René mládenca prihodi a skuszenosti" (1783 r.), „Slovenská dvojnásobná epigramata" (1794 r.) i „Veselé uczinky a reczeni" (1795 r.) i t. p.

Same tytuły wykazują już w jakiem duchu były pisane te rzeczy. Są to moralizowane, na sposób teologiczny opowieści, które miały pouczać i zagrzewać w wierze katolickiej.

W te same ślady wstąpił Juro Fandly, również ksiądz katolicki, który na szerszą skalę rozpoczął w tym samym duchu prowadzić wydawnictwo książek historycznych i rolniczych. Najgłówniejsze jednak stanowisko pomiędzy tymi propagatorami nowej pisowni użytej do rozgałęzienia katolickich stosunków, był ksiądz Antoni Bernolak. Po słowacku napisał niewiele, ale za to pracował nad ustaleniem tej nowo-wynalezionej pisowni, wydając prace lingwistyczne „Dissertatio philologico-critica de literis Slavorum" (1787 r.) i „Gramatica slavica" (1790 r.). Prace te przyjęto z zapałem i z zamiłowaniem wprowadzono je w życie tak, że nawet rozpowszechniły się dosyć szybko pod ogólnem mianem „Bernolacyny". W szczególności popierało je duchowieństwo katolickie. Dlatego nawet zawiązało się w Ternawie towarzystwo literackie, które miało na celu popieranie nowo utworzonego języka. Zaczęto nawet drukować książki w tem narzeczu, a każdy należący do koła literackiego, obowiązany był je nabywać.

Przeciwnicy tego obozu, protestanci, nie zasypiali także spraw swoich. Wkrótce po zorganizowaniu kółka katolickiego założyli w Presburgu swoje towarzystwo.

Tak stanęły dwa towarzystwa: katolickie i protestanckie. Pierwsze z nich miało gorliwych i zamożnych opiekunów w kanoniku Jerzym Pałkowiczu (1763 — 1835 r.) i Aleksandrze de Rudna a Divék Ujfalu (1760—1831 r.) późniejszym prymasie węgierskim. Pomimo jednak silnego poparcia metoda bernolacka zachwiała się wkrótce i jeszcze przed śmiercią jej twórcy upadła. Po słynnym mężu pozostała jedna z najgłówniejszych prac, którą potem Rudny wydał swoim nakładem. Jest to słownik słoweński, (Slovar slovenski) z przytoczeniem znaczenia wyrazów po czesku, łacinie, niemiecku i węgiersku.

Na tem skończyła się działalność Bernolaka, i dopiero z Janem Holli (1785 — 1849 r.) można powiedzieć, że rozpoczyna się literatura słowacka. Ukończywszy seminaryum duchowne w Ternawie w 1808 r. został księdzem i część swego życia przepędził jako proboszcz wiejski w Madunicach, niewielkiej wioseczce, gdzie w rzeczywistości zostawał w obcowaniu z naturą.

Przesiadując w sąsiednim gaju, pod pięknym, dużym dębem, rozmyślał i marzył o przeszłych, szczęśliwych dniach swego narodu.

Główna jego twórczość przypada dopiero po roku 1820 i trwa z górą przez lat dwadzieścia.

Prace swe literackie Holly rozpoczął przekładami z klasycznych języków i wydał je w Ternawie p. t. „Rozliczne basné Hrdinské, Elegiacké a Lirycké z Wirgilia, Teokrita, Homera, Owidia, Tirtea a Horaca" (1824 r.) i „Wirgiliowa Eneida" (1828 r.). Obiedwie te książki wyszły nakładem gorliwego protektora słowiańskiej literatury. Był nim Jerzy Pałkowicz, kanonik. (*)

Pierwotnie pieśni Hollego, pisane dyalektem polsko-morawskim, nadawały główny zwrot językowi słowackiemu ku literaturze polskiej, później jednak zaczął więcej nakłaniać się ku wrażeniom dawnych pisarzy i zatarł ten charakter. W 1833 roku ukazał się pierwszy tom jego poezyi oryginalnych.

Był to bohaterski poemat „Swatopluk" w dwunastu pieśniach. W dwa lata potem oddrukował znów nowe dzieło: poemat w sześciu pieśniach p. t. „Cyryllo Metodiada", następnie „Sielanka" i rozrzucone luźne wiersze w pismach i kalendarzach.

Do dziś mamy dwa wydania Hollego utworów: pierwsze i drugie wyszło w Peszcie z biografią autora (1842 i 1863 r.). Poeta ten, pomimo swego dosyć skromnego wykształcenia, zajął wysokie stanowisko w swoim narodzie. Przyszło mu ono bezwiednie, gdyż Holly daleki był od jakichkolwiek zabiegów o nieśmiertelną sławę.

Życie całe spędził jako biedny ksiądz słowacki, i z tego też stanowiska zapatrywał się na sprawy społeczne w swoich pieśniach. Kto jednak więcej się w nie wczyta, odnajdzie natychmiast pierwiastek narodowy, wpływ utworów Kollara, a przedewszystkiem „Slavy Dcery" pieśni liryczno epicznej. U Hollego pieśń ta zrealizowała się do niepoznania. Przedstawiał ją sobie jako Slawonię (matkę całego słowiaństwa), płaczącą nad utratą swoich dzieci. Tak naprzykład: „Placz Matky Slavy", przedstawia ubytek coraz to jednego dziecka: Biedne Pomorze zginęło, gdyż pożarli je Niemcy. Holly sięga jeszcze dalej, gdyż wedle wykazów i ksiąg archeologicznych, Słowianie mieli zamieszkiwać aż nadreńskie kraje: Gdzież oni są dziś?

Zginęli jedynie dlatego, że nie lubili sporów i kłótni, wojen i najazdów, że byli zgodni, dobroduszni; dlatego upadli. Życie starych Słowian jakże pięknie, jakże poetycznie maluje Holly. Ja-

(**) „Die Slaven" Eine etnographische Skizze, druigie pomnożone wydanie, Praga 1875 r.

(*) Dwóch było Pałkowiczów tegoż samego nazwiska i imienia. Jeden z nich katolik, drugi dysydent.

każ to patryarchalna rodzina, żyjąca w zgodzie i kochająca się wzajemnie.

Tak się nam przedstawiają utwory Hollego. Nie potrzebujemy tu rozwodzić się długo nad wrażeniem, jakie wywołały między swymi. Słowacy, a nawet wszyscy Słowianie wówczas, nie myśleli inaczej.

Owszem, byli pewni, że przeszłość ich musiała wyglądać tak, jak ją przedstawił poeta w swoich utworach. To też z niesłychanym zapałem witano te książki, niosące tyle przyjemnych, a zarazem rozczulających wrażeń. Co do zewnętrznej formy, to Holly wykształcony na klasycyzmie, nadał utworom swoim właściwie klasyczny charakter i pisał je na sposób Homera, Wirgiliusza, Klopsztoka w pieśniach, heksametrem lub też pentametrem; bardzo rzadko używał innych miar, gdyż bezsprzecznie stanowiły mu trudność.

Holly należał do stronnictwa katolickiego, a zatem wszelkiemi usiłowaniami starał się zbliżyć swój naród ku temu państwu, któreby zadość czyniło jego wyobrażeniom i pojęciom. Dlatego też w jego dyalekcie piśmiennym znajdujemy tyle łączności z naszym językiem. Kształcił się niezawodnie na naszych poetach i pod wpływem ich miał stanąć do walki z przeciwnem stronnictwem dysydenckiem, rezydującem w Presburgu. Celem jego było zachowanie czystości języka czesko-słoweńskiego (słowackiego). Było to w roku 1801. Głównym przewódcą ogłoszono Tablica wraz z innymi jego stronnikami: Gamlarem, Bartolomejdesem i Michałem Godrą.

Stowarzyszenie to jednak rozchwiało się wkrótce, a główną jego czynnością, było utworzenie katedry języka czesko-słoweńskiego w Presburskiem liceum, która później została jedyną osłoną czesko-słowiańskiej literatury. Katedrę tą w 1803 roku objął Jerzy Pałkowicz (protestant).

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z pod naszej strzechy.

Pani Walerya Marrené rozpoczęła w „Gazecie Rzemieślniczej", szereg artykułów p. t. „Kobieta w sferze rzemieślniczej". Sam pomysł podjęcia tej kwestyi, zasługuje na pochwałę.

Oto co np. autorka powiada:

„Im większa praca i odpowiedzialność przypada mężowi, tem żona wierniej pomagać mu powinna, jeśli bowiem na głowie męża spoczywają interesa, obrót pieniężny, praca chlebodajna — dział żony nie jest mniejszej wagi: do niej należy rozumne zagospodarowanie pieniędzmi, przeznaczonemi na utrzymanie domu, w ten sposób, ażeby za stosunkowo najmniejszą sumę, dać najwięcej wygód tym, co od niej zależą."

Pani M. wskazuje ogólnikowo najważniejsze czynności gospodyni, żony rzemieślnika, która nietylko jest żoną i matką, lecz nadto ma liczniejszą rodzinę — czeladź. Pod jej dozorem zostaje kuchnia dla tych wszystkich pracowników, ona powinna mieć staranie o ich sypialnie i t. p. potrzeby materyalne. Dla ludzi pracujących rękami, siła nie może być obojętną, a szafarką tej siły do pewnego stopnia, jest gospodyni.

Lecz na zachowaniu sił fizycznych nie kończy się zadanie życia. Ważniejszą jest bezporównania siła moralna, owa dźwignia, która nas przy życiu utrzymuje w dobrej i złej doli.

I tu zadanie gospodyni w domu rzemieślnika ma niemałe pole działalności.

„Gospodyni powinna przestrzegać moralności i obyczajności swoich domowników, strzedz od złego przykładu, złych książek, złych nawyknień, pilnować porządku, nauki, nabożeństwa, słowem obchodzić się z nimi, jakby to matka z dziećmi czyniła."

Taki wpływ kobiety nietylko w sferach rzemieślniczych ma doniosłe znaczenie w skutkach. Przypatrzmy się np. stosunkom pań do sług. Bezwątpienia każda pani może wiele dobrego zrobić ze służącą, lub zaniedbaniem ułatwić jej moralny upadek.

Nawet po za pracą, wpływ kobiety na czeladź może być pożyteczny lub zgubny. Słusznie powiada autorka, że wspólna rozrywka więcej jeszcze niż wspólna praca ludzi jednoczy. Więc znowu kierowniczką tych rozrywek może być, ba nawet powinna gospodyni.

W ogóle wykazuje pani Marrené wpływ i znaczenie kobiet w sferach rzemieślniczych, bardzo jasno i bez przesadnych wykrzykników rzuca światło na to, co przez kobietę w tych warstwach zdziałać można i powinno się czynić.

Pole to bardzo ważne, nie należy go zaniedbywać, przeciwnie zdrową radą pomagać tym, którzy nieraz błądzą z nieświadomości.

Dla pań naszych nieobojętną będzie zapewne wiadomość o organizującej się w Warszawie wystawie kucharskiej. W połowie lutego będziemy ją mogli oglądać.

Nie wątpimy, iż sławne nasze gospodynie wystąpią z dziełami swego kunsztu. Cóż bowiem naturalniejszego, jak umieszczenie na wystawie kucharskiej konserwów, konfitur i t. p. wyrobów, z których panie nasze słynęły i słyną. Przyznajemy otwarcie, iż dla nas wyroby domowe w tym kierunku, miały zawsze wyższą wartość od tego wszystkiego, co przygotowują kucharze i cukiernicy krajowi... a nierzadko i zagraniczni.

Ciekawem byłoby zestawienie np. konserwów naszych domowych z zagranicznemi i wogóle t. z. sklepowymi.

Sławna znawczyni kunsztu kucharskiego pani Lucyna Ćwierciakiewiczowa, bierze w wystawie czynny udział i podobno zamierza urządzić wzorowe obiady.

Będziemy więc mogli przekonać się po raz nowy o doskonałości jej rad kucharkich.

Wracamy jeszcze do kobiet wszystkich warstw społecznych. W „Kuryerze Codziennym" znaleźliśmy opis faktu nad wyraz smutnego, który nam nasuwa myśli poważne, a proste. Pomimo ich prostoty, pomimo, że w teoryi znamy je wszyscy, niestety, jakże często odbiegamy od nich w praktyce.

Jest to kwestya, w której najskuteczniej chyba będzie odwołać się do kobiet.

„Kuryer" opisuje wypadek pomieszania zmysłów, wywołany przez czytanie książek, zbyt rozdrażniających fantazyę i nerwy. Czternastoletnia panienka rozczytywała się w całej kolekcyi romansów francuzkich, w których więcej trucizny, aniżeli zdrowego pokarmu znaleźć można. Wypadkiem trafiła na bibliotekę, złożoną z najbardziej rozdrażniających opowieści. I oto w przystępie szału, zrywa się w nocy, z zamiarem zamordowania własnej babki. Dotąd nie ma nadziei wyleczenia nieszczęśliwego dziewczęcia.

Niestety, czytanie romansów francuzkich zbyt u nas jest rozpowszechnione, ażebyśmy o niem mogli przemilczeć. A jednak ileż to zgubnych skutków wydaje to złe, tak głęboko zakorzenione!

Rzecz prosta, iż ludziom rozsądnym najgorsza książka zaszkodzić nie może, ludzi z wyrobionemi zasadami bajka żadna nie popsuje. Ale inaczej rzecz się ma z umysłami niewyrobionymi. Te zbyt są wrażliwe, ażeby się mogły opancerzyć przeciw ko wpływom książek.

Do młodych dusz wślizgują się fantastyczne obrazy; powleczone pokostem piękna, nęcą oczy niedoświadczonych, aż powoli zatrują duszę, zdenerwują ją, wpoją pewną skłonność do złego, wyrodzą wątpliwość co do błędu i cnoty. A to dostateczne. Za wahaniem łatwo pójdzie bezwiedne zboczenie, potem i samowiedza nie będzie się opierała.

Do kogóż więc mamy się odwołać jeśli nie do matek naszych, ażeby były przezorniejsze? Dajmy pokój dziełom wątpliwej moralnej wartości, nie szukajmy pieprzyku dla zabawki, bo nas potem tak zagoryczy, iż nic już życia osłodzić nie potrafi. A nadewszystko należy czuwać nad wyborem książek dla młodzieży dorastającej i takiej, której się wydaje, że już dojrzała zupełnie. Pamiętajmy o przysłowiu, że czem skorupka nasiąknie...

Przezorność nasza nie może, niestety, dotyczyć li tylko obcych wydawnictw. W pogoni za błyskotkami, wielu wydawców szuka skwapliwie dzieł głośnych i przyswaja je naszej literaturze. Tłomaczy, dla grosza, nie robią ścisłego wyboru.

Że tak jest, łatwo się przekonać ze spisu tłomaczonych powieści, które się w księgarniach i czytelniach znajdują.

Ba, gdybyż to tylko książki były posiewem złego!

I czasopisma nieraz zapominają o swem zadaniu. Dla ożywienia treści, podają w tłomaczeniach powieści bardzo wątpliwej wartości moralnej, mogące zabawić starych, lecz dla młodych pełno w nich owej słodkiej trucizny, która niewidocznie wciska się do mózgu, rozpala go, rodzi pragnienie, słowem staje się nauką złego, powolną ale systematyczną.

W obec tego faktu musimy się z jednej strony odwołać do prasy, z drugiej do rodziców, a przedewszystkiem matek.

Prasa powinna zrozumieć, ile złego czyni, karmiąc swych czytelników nie zdrową strawą, lecz trucizną — ale trudno przekonać wszystkich. Godzi się przyznać, że większość stroni od tej śliskiej drogi — pozostaje garść takich, wobec których może próżnemi będą wszelkie nawoływania. A jednak i dla tych mamy ważne słówko.

Oto musimy zwrócić uwagę na dziwne pojęcie moralności, które bardzo silnie zakorzeniło się i w sferach czytelników i bardziej jeszcze pomiędzy wydawcami.

Przypuśćmy, iż któryś z naszych autorów napisze powieść obfitującą w sytuacye drastyczne, śliskie, potrącające o stronę niemoralną życia naszego. Rzecz może mieć w rezultacie tendencyę zacną, moralną, potępiającą bezwstyd i rozwiązłość, może być napisana z prawdziwym talentem. Żadne pismo takiej powieści nie wydrukuje. Autor zostanie potępionym, że śmiał dotknąć brudów, chociaż jasnem jest, jak na dłoni, iż im bynajmniej nie sprzyja, nie schlebia, owszem żarliwie potępia.

Nic to nie pomoże. Nasze pisma nie mają miejsca na takie utwory!

Ale niech któryś z głośnych autorów francuzkich napisze nową powieść, pełną bezecności, pełną scen i obrazów, zaczerpniętych z mętów życia. Wnet spieszą na prześcigi tłomacze i wydawcy, i oto widzimy dzieło w kilku nieraz edycyach, równocześnie pojawiających się. (Świeży jeszcze przykład mamy na powieści A. Daudet'a „Safo".)

Prasa i krytyka milczy, jeśli, co gorsza wprost nie pochwali dzieła.

Stempel zagranicznej sławy oślepia nas i niechcemy o tem pamiętać, że co kraj to inny obyczaj, że co dobre dla Francuzów nie zawsze może być i dla nas pożytecznem. Powieść, która zagranicą ma wartość obyczajową, społeczną, traci ją u nas, zbyt od miejsca akcyi oddalonych, a natomiast staje się czemś zupełnie innem...

My pewnych autorów francuzkich nie rozumiemy dobrze, a czytamy ich dla wielu przyczyn. Jużto, ażeby się módz pochwalić żeśmy czytali to lub owo, co gdzieindziej jest głośnem, już to dla... *rozrywki*. Ale rozrywka taka nieraz srodze mści się w następstwach.

Jad słodki, gdy raz do duszy wtargnie, wsiąka w nią i nie wyruguje go tak łatwo żadna kazaniowa nauka moralna. Tam nęcą czyny, obrazy, sceny pełne życia i fantazyi — tu może działać suche tylko słowo. Walka bardzo nierówna.

W wyborze powieści obcych, a specyalnie francuzkich, powinniśmy być nader ostrożni i surowi. Pamiętać potrzeba co i komu dajemy do czytania, pamiętać trzeba również i o tem, co niedawno wypowiedział publicznie jeden ze znakomitych francuzkich autorów: „Francya chlubi się niemoralnością swoją i więcej o niej mówi, więcej jej odkrywa, aniżeli jej ma istotnie. Gdybyśmy Francyą chcieli sądzić z jej dzisiejszej literatury, krzywy byłby sąd nasz!"

Tak jest istotnie. Społeczeństwo żyjące i rozwijające się dzielnie, lubi bufonować swą niemoralnością i przepełnia nią znaczną część swej literatury powieściowej.

Więc powinniśmy być ostrożni, a nadewszystko pilnować wyboru książek dla ludzi młodych.

To zadanie głównem powinno być obowiązkiem kobiet i nie wątpimy, że je spełnią.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

28 Stycznia 1885 roku.

W formie sukien tegorocznych, ważną dostrzegamy zmianę i szczerze jej przyklaskujemy. Tak już nadużyto wszelkich festonów, fartuszków i puffów, że najwytworniejsze elegantki, postanowiły odrzucić je stanowczo i przyjęły spódniczki krajane w proste bryty, mocno nafałdowane lub przymarszczone w tyle. Niekiedy idą dwie spódniczki jedna na drugiej. Zwierzchnia zazwyczaj bywa krótsza, roztwarta na przodzie, lub też z jednego boku, pierwsza zaś spódniczka sięgająca do ziemi, ma u dołu garnirunek z koronki, albo parę plisowanych falbanek. Nie idzie za tem, żeby suknie podpinane w festony miały być całkiem zaniedbane; noszą je dotąd i długo zapewne nosić będą, gdyż Paryżanki upodobały sobie ten rodzaj, który można urozmaicać według fantazyi. To jednak pewna, że spódniczki proste i mocno nafałdowane, stanowią dziś najpierwszą nowość. Dla odsadzania fałdów, przyjęto małe pół krynoliny, to jest spódniczki, przewlóczone w tyle cienkiemi stalkami w odstępach.

Drugą nowość, zwłaszcza do wieczornych sukien, stanowią szerokie szarfy, wiązane w tyle, z długo spadającemi puklami i końcami. Używają na nie wstążek morowych, lub tak zwanych *ottamane* w grube poprzeczne prążki. Szarfa taka zastępuje miejsce puffu lub draperyi.

Po tych ogólnych uwagach przystąpmy do szczegółów: zaczynamy tu od opisu kilku bardzo ładnych sukien z lekkiej wełnianej tkaniny, zwanej *voile*. Tkanina ta, od lat kilku upowszechniona na wieczorach, a nawet na balowe suknie dla panien i młodych mężatek, przedstawia w tym roku wielką rozmaitość. Niekiedy ma drobny rzucik przerabiany jedwabiem, najczęściej jednak bywa zupełnie gładka, przezroczysta jak dawny bareż.

Oto kilka lekkich wełnianych sukien, z wielkiego magazynu Luwru.

Pierwsza suknia z białego *voile*, w odcieniu śmietankowym. Spódniczka w proste bryty, cała pokryta trzema szerokiemi wolantami: każdy wolant zakończony szerokim na trzy cale obrębem, podwleczonym pąsową wstążką. Stanik przymarszczony, otwarty z przodu w chusteczkę, na wykroju, plisa z pąsowem podwleczeniem, pod spód tulowa szmizetka. Dopełnia ubrania szarfa z pąsowej morowej wstążki i pąsowa aksamitna opaska na szyję, spięta na złotą agrafkę, naszyta złotą pasmanteryą.

Druga suknia z blado-różowego kreponu wełnianego. Spódniczka podwójna: pierwsza zakończona u dołu dwiema wązichnemi, plisowanemi falbankami; nad tem pięć zakładek w odstępach, szerokich na dwa cale. Druga spódniczka krótsza, z takiemiż zakładkami, objęta brzegiem, przymarszczoną koronką, podpięta z lewego boku. Na podpięciu pęk pukielków z morowej wstążki, w kolorze mchowym *mousse*. Stanik wykrojony czworograniasto, na tulowej szmizetce, do tego opaska na szyję, z mchowego aksamitu, spięta na srebrną agrafkę, naszyta srebrem, poniżej pleców, spada szeroka kokarda z końcami z wstążki morowej koloru mchowego.

Trzecia suknia z wełnianej lekkiej tkaniny w jasno popielatym kolorze. Spódniczka płaska z przodu i po bokach, mocno nafałdowana w tyle. Wzdłuż przodu idą cztery zakłady, odwrócone od siebie. Z pod tych zakład wychodzi naszyta skośnie do góry koronka, w kolorze ciemno pąsowym *caroubier*, i pokrywa w odstępach całe boki spódnicy. Tylny bryt naszyty takąż koronką, w poprzecznym kierunku, cztery razy w odstępach. Stanik otwarty z długim bawetem. Z pod stanika wybiega na obie strony draperya, połączona w tyle rozniesistym puffem. Otwór stanika zapełnia plastron, naszyty koronką *caroubier*. W koło szyi obróżka ciemno pąsowa aksamitna przybraną złotą pasmanteryą.

Czwarta suknia czarna. Spódniczka złożona z dwóch szerokich wolantów, z grubej czarnej koronki, naszytych na czarnym *poult de soie*. Stanik jedwabny, otwarty w chusteczkę na wykroju objęty wełnianą koronką. Pod spód szmizetka biała, ujęta w obróżkę błękitną aksamitną, naszytą srebrnemi perełkami. Szarfa błękitna morowa, złożona z pukli, długich blizko na łokieć i z dłuższych jeszcze końców, spada na tylne bryty.

Piąta suknia, z wełnianej lekkiej tkaniny w odcieniu śmietankowym. Spódniczka w proste bryty, naszyta trzy razy morową wstążką w tymże samym odcieniu, szeroką na sześć cali. Stanik z długim bawetem, wycięty, przybrany draperyą i koronką. Z pod stanika wybiega draperya, podpięta po bokach puklami z wązkiej wstążeczki morowej, złączona w tyle wielką kokardą, z takiejże wstążki, szerokiej na ćwierć łokcia. Rękawki bufowane, na ramionach kokardki.

Wełniane wyroby przypadły dziś do smaku Paryżankom, na co utyskują ciężko fabrykańci Lyońscy. Jedwabne suknie z długiemi powłokami przyjęte wyłącznie na śluby, lub wielkie wystąpienia. Na zwyczajnych wieczorach, widzimy same wełniane krepony i woile. Koronka wełniana, w rozmaitych kolorach, stanowi główną ozdobę tych skromnych, lecz pełnych gustu sukien, oprócz nizkiej ceny, ma ona jeszcze tę zaletę, że się nie gniecie i zawsze świeżo wygląda. Robią z niej bardzo ładne kapturki do wejścia na bal lub do teatru, jak niemniej długie szale, do okręcenia szyi i ramion, na to używana zwykle biała koronka w odcieniu śmietankowym. Przyjęto ją też powszechnie do ozdoby sukienek dziecięcych.

Obróżki aksamitne na szyję w rozmaitych kolorach, stały się też modą panującą. Niektóre naszywają prawdziwemi lub też fałszywemi perłami, inne spinają na złotą lub srebrną agrafkę. Inne znów zdobią u dołu festonami z błyszczących różnokolorowych paciorecżek. Obróżki te noszą zarówno do wyciętych sukien, jak i do wysokich staników. Niekiedy z pod opaski wychodzi w górę wązichna plisowana iluzya. Uważaliśmy też wązichne fryzki, opasane z wierzchu płasko naszytą koronką złotą albo srebrną.

Do częstszego ubrania, podwiązują pod wązką fryzkę, pewien rodzaj wojskowego ryngrafu z aksamitu czarnego lub kolorowego, cały nabijany dżetem, jakby gwoździkami, ładnie to i oryginalnie wygląda. Miejsce fryzki najczęściej zastępuje podwójna pliska z krepy, lub tarlatanu, wązichna na pół cala.

W kołnierzykach do częstszego ubrania ukazała się także nowość. Są to proste, małe kołnierzyczki z gładkiego batystu podwójnego, wyłożone na stojący kołnierz od sukni, spinają się z przodu na małą emaliowaną brzoszkę.

W układzie włosów żadnej prawie nie widać zmiany. Czoła zazwyczaj przysłonięte fryzurką, warkocz skręcony gładko, tworzy na wierzchu głowy ósemkę, przepinaną fantastycznie grzebykami, lub wielkiemi szpilkami, w tych ostatnich nadzwyczajna panuje rozmaitość, najmodniejsze powleczone zaśniedziałem złotem *or bruni*, mają formę sosnowych szyszek.

Szpileczki złote w formie toporków, służą do upięcia krawatek i żabotów koronkowych na staniku, lub kokard u kapelusza.

Trzewiczki do wieczornego ubrania, noszą zwykle w kolorze odpowiednim do sukni, zdobią je dosyć wielkiemi kokardami.

Do wyjścia na ulicę, otaczają szyję wałkiem z futra: tumaków, skunksów, lub chinchilly, spiętym na złotą albo srebrną agrafkę; mufka do tego odpowiednia, maleńkie ma rozmiary.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Zebrało się towarzystwo, liczące już przeszło sto kilkadziesiąt osób: pań i panów, które chcąc ożywić rozmowy towarzyskie, podpisały następującą umowę:

Ktokolwiek rozpocznie rozmowę komunałem o pogodzie, śniegu lub deszczu, płaci rubla kary na cel dobroczynny, której uiszczenia przestrzegać winien ten, do kogo winowajca mówił. Pomysł powstał przed paru już tygodniami, a przecież do kary wpłynęło dopiero dwa ruble. Zatem dwie tylko osoby nie umiały się powstrzymać od tak wyśmianego sposobu zawiązywania rozmowy.

Drugie zarówno godne uznania stowarzyszenie utworzyło się w jednem z powiatowych miast guberni Lubelskiej, które — jak donosi „Gazeta Lubelska" podjęło energiczną propagandę w celu wykluczenia stanowczo z zebrań towarzyskich wszelkiej gry w karty. Zamiast marnowania czasu i pieniędzy przy zielonych stolikach, dotychczasowi ich zwolennicy mają się zająć czytaniem i poważną rozmową. Jedna tylko gra w szachy, jako niehazardowna i myśląca, jest w tem kółku dozwoloną. Życzyć należy, aby promotorowie i członkowie tak rozumnego i poczciwego pomysłu, znaleźli jak najwięcej zwolenników i sami wytrwali w powziętem postanowieniu.

*** Od dnia 1 stycznia s. s. zaczęło wychodzić w Moskwie pismo codzienne „Żyźń" (Życie), jest to gazeta tania, redagowana przez adwokata Plewako. „Żyźń" ogłosiła swoje credo w szeregu negatywnych dewiz, wykazujących w co wierzy czego nie pojmuje.

„My nie pojmujemy mówi: Świata bez Boga; człowieka bez duszy; państwa bez władzy; władzy bez prawa; prawa bez posłuszeństwa; obywateli bez praw, które sąd tylko odjąć im mocen; silnego bez obowiązków; słabego bez prawa do opieki publicznej; cerkwi bez szkoły; chleba bez pracy; pracy bez chleba; nauki bez swobody; swobody bez granic; złej woli bez kary; sądu bez łaski."

Program rozumny i uczciwy, a jednak jeden z wesoło usposobionych, wychodzących także w Moskwie organów, wydrwił go jak następuje:

„...O, tak! My nie pojmujemy: Wody — bez wilgoci; wilgoci — bez wody; dymu — bez ognia; ognia — bez dymu; podwórza — bez stróża; stróża — bez podwórza; psa — bez kija; kija — bez psa; nas samych — bez fraz; i fraz — bez nas."

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Ks. Leon Rogulski z Galicyi, od lat 20 misyonarz na drugiej półkuli, od czasu do czasu nadsyła krakowskim Misyom katolickim wiadomości o polskich wychodźcach. Jest ich w całej Australii około 6,000, przeważnie z Galicyi, oraz z ks. Poznańskiego, Prus i Szląska. Coraz więcej zaczynają się skupiać i łączyć w oddzielne gminy. Mogą się już rozmówić po angielsku, ale nie zapomnieli rodowitego języka i uczą go dzieci. Od lat kilku powstały już trzy gminy polskie na południu Australii, w miastach Sevenhill, Penwortham i Hillwirer, i mają tam kościoły: św. Kazimierza, św. Stanisława i N. Panny. Oprócz księdza Rogulskiego jest jeszcze trzech księży polskich; utrzymują Seminaryum. Nauczycielami w szkołach jest 11 braci zakonnych, uczących także rzemiosł i 4 zakonice polskie z Cieszyna. Lud nasz jest tam bardzo wytrwały w pracy i przedsiebierczy; zawsze wesół, schludnie odziany, rezolutny, bogobojny i uczciwy, ślepo ufający swoim księżom.

Tylko w Adelajdzie znajduje się kilka rodzin z wyższem wykształceniem. Wszyscy rodacy nasi doznają szczególnej życzliwości i poparcia, od miejscowego biskupa ks. Reinolds'a, Irlandczyka, dość dobrze znającego nasze dzieje. W pokojach jego obok cudownych naszych obrazów jak Naj. Panny Częstochowskiej, Ostrobramskiej i in., znajduje się portret Sobieskiego i kilku innych bohaterów. Ks. Reinolds o tyle już nauczył się naszego języka, że czyta dzieła naszych kaznodziei, a szczególniej Gondeka, Skargi i Prokopa.

Jeszcze w kilku miejscowościach przemieszkują Polacy, ale nie tworzą oddzielnych gmin i nie mają swoich kościołów, tylko schodzą się z kolei do któregoś z rodaków, na wspólne śpiewy religijne.

*** Rozswywoleni szałem karnawałowym Wiedeńczycy, zabawiają się wyrabianiem posągów ze śniegu, które ustawiają w różnych punktach miasta. Wielkiej uciechy narobił posąg Sary Bernhard, z charakterystyczną fryzurą, jakoteż statua damy w futrzanym paltocie i z mufką, z wyrobioną w okolicach serca skarbonką, z napisem po nad otworem: „Na letnią suknię". Twórcą tej statui był biedny rzeźbiarz, pozbawiony roboty, i dzięki swemu pomysłowi zebrał dość pokaźną sumkę, gdyż rozśmieszeni widokiem białej damy przechodnie, chętnie składali jej ofiary.

*** W Indyach, węże stanowią najstraszniejszą plagę ludności. W r. 1883, zginęło od ukąszenia jadowitych węźów 20,067 osób, kiedy ofiarami dzikich zwierząt było tylko 2,028 osób, mianowicie: 985 rozszarpanych przez tygrysów, 287 przez wilków, 217 przez lampartów i t. d. Bydła rogatego zginęło razem 47,478 sztuk, z tych tylko 1,644 sztuk od ukąszenia jadowitych wężów; co dowodzi, że węże częściej napadają na ludzi, niż na zwierzęta domowe. Prawie trzy czwarte wymienionych powyżej ofiar ludzkich, przypada na Bengal i prowincye północno-zachodnie. W ciągu 1883 r. zabito 19,000 dzikich zwierząt, za które zapłacił przeszło 15,000 funtów szter. wynagrodzenia.

*** W laboratoryum artyleryjnem w Woolwich w Anglii, fabrykują obecnie nowe kule, posiadające przerażającą siłę burzenia. Są to „torpedy-ryby" tak celne, iż trafiają niechybnie o 848 metrów. Ładunek cały waży do 70 funtów; straszliwym tym torpedom nie oprze się najmocniejszy pancernik.

NOWE WYDAWNICTWA.

Zjawiska wulkaniczne, obrazek geologiczny, przez profesora Wł. Boberskiego. Książeczka druga Biblioteczki dla dzieci i młodzieży. Cena 25 centów austryackich. Wyszło w Złoczowie.

Lwowskie kolonie wakacyjne w roku 1884, obejmuje: 1) Sprawozdanie komitetu, przez D-ra Teofila Gerstmanna. 2) Pamiętnik kierowniczki pierwszej kolonii, przez Jadwigę Zubrzycką. 3) Życie kolonii wakacyjnej, skreślił Walenty Kowalówka. 4) Sprawozdanie higieniczno-lekarskie w kolonii. Nakładem Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie.

Niepoprawni, powieść spółczesna, przez J. Turczyńskiego. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmidta.

Pamiętnik znaleziony, opowiadania historyczne przez Pawła Sassa. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmidta we Lwowie.

SPROSTOWANIE.

W N rze 4-ym w artykule „Słowacy", zaszły następujące omyłki: W szpalcie 2-ej w 3-im wierszu od góry, zamiast: „Pribina, Nitrański, Kolec." powinno być: „*Pribina nitrzański, Kocel*", siedm wierszy niżej, zamiast: 1073 r. powinno być 973 r.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Января 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Opis do N-ru 5.

N. 1. Suknia z szeroką szarfą.

Do sukni kaszmirowej popielatej szeroka szarfa, 11 cent. szeroki kołnierz wykładany, mankiety 6 cent. wysokie i kamizelka z boku zapinana, z wyłożonemi 15 cent. szerokiemi ranwersami, dane były z jedwabnej mory, takiegoż koloru. Kaftaniczkowe przody stanika z podciętą z boków baskiną, podszyte materyą i luźno puszczone, nie dochodzą do siebie na 6 cent., krawatowa kokarda ze skośnego, 12 cent. szerokiego atłasu. Spódnica fałdowana zaszyta u dołu w 6 szerokich zakładek. Draperya z przodu krótko „a paniers" podpięta, z tyłu z dwóch prostych brytów ułożona, ozdobiona jest z jednego boku szarfą, przypiętą w sposob wskazany na ryc. 1.

N. 2. Paletocik, dla małego chłopczyka, ozdobiony szarfą.

Wstążka atłasowa 6 cent. szeroka, jednym końcem wszyta pod obłożenie przodu zachodzącego na wierzch, drugim pomiędzy szew pleców, użyta była na szarfę związaną z boku. Na modelu paletocik z ciemno-orzechowego dubeltowego, wełnianego ottomanu, miał kołnierz i obłożenie z ciemniejszego pluszu, z którego zrobiona także była czapeczka okrągła, ozdobiona pomponem przyszytem na środku denka.

N. 3 i 34. Ubranie spacerowe z draperyą fałdowaną.

Suknię z czarnego wełnianego materyału ładnie zdobiły i ożywiały pletnie 5 cent. szerokie, z brzegu zakończone sutaszem stalowym, całe przerabiane kwiateczkami sznelowemi, mającemi w środku gwiazdkę ze stalowych perełek. Spódnica oszyta wolantem złożonym w fałdy 12 cent. szerokie, mającym z przodu i z tyłu 20 cent. szerokości, a z boków między draperyą, dochodzącym aż do paska. Na draperyę przednią potrzeba dwóch brytów prostych, 105 cent. długich, a 208 szerokich, z przodu złączonych pletniami, a w górze i z boków sfałdowanych i w pasek wszytych. Tylne bryty 105 cent. długie a 100 cent. szerokie, są w górze sfałdowane i w pukle 18 cent. długie złożone, a z boków lekko podpięte. Stanik z krótką okrągłą baskiną, zapięty z przodu na guziczki, ma plecy złożone z czterech części.

N. 4. Czepeczek z materyi.

Denko tiulowe, mające 19 cent. średnicy, w koło trochę przyfałdowane, wszywa się w pasek ze sztywnego tiulu, 4 cent. szeroki, a 54 cent. długi, zeszyty w koło i w odstępie 9 cent. od środka z tyłu, zaszyty z każdej strony w fałdę 1 i pół cent. szeroką, 144 cent. długi kawałek koronki 7 cent. szerokiej, z tyłu i z boków drobno sfałdowany, przyszywa się tak, żeby wystawał za brzeg paska na 4 cent., a z przodu układa w głębokie kontrafałdy, wystające 6 cent. Zwierzchnie pokrycie czepeczka stanowi owalne denko z materyi, w centki niebieskie i ponsowe, mające 39 cent. wysokości, a 35 szerokości, które z boków naszywa się gładko na pasku, z przodu wypuszcza nagłówek 4 cent. szeroki i marszczy się do 15 cent., a z tyłu fałduje pomiędzy dwoma zaszytemi w pasku fałdkami. Na sfałdowaniu naszywa się wachlarzowo, 84 cent. długi kawałek koronki. Denko całe układa się zręcznie w fałdy, przyczepione nieznacznie do denka tiulowego.



Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z szeroką szarfą. N. 2. Paletocik dla małego chłopca. N. 3. Suknia z fałdowaną draperyą. Patrz ryc. 34.

N. 5. Negliżyk koronkowy.

Upięty na podstawie ze sztywnego muślinu, oszytej drucikiem i objętej wstążeczką, liczącej w środku z przodu 5 cent., w końcach 2 cent. szerokości, brzeg tylny prosto ścięty, liczy 29 cent. długości, przedni zaś, zaokrąglony nad czołem, liczy 35 cent. Do tego czółka przyszywa się kółko z drutu 44 cent. długiego, jedną stroną oparte o brzeg przedni, drugą zaś odstające w górę; na tym kółku opierają się trzy rzędy marszczonej koronki 9 cent. szerokiej, dwa kawałki po 108 cent., trzeci zmarszczony w środku nad czołem tylko 38 cent. długi. Główkę zmarszczoną z owalnego kawałka koronkowego tiulu, utrzymuje w środku drucik 20 cent. długi przyszyty do podstawy.

N. 6—8. Spódnica z turniurą z przypinanym trenem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 40.

Ryc. 8 przedstawia spódnicę z turniurą, uszytą z włosiennego materyału, zastosowaną pod krótką suknię, do której przypinać można turniurę pod tren krótki, lub pod wielki tren do balowego ubrania, jak to wskazuje ryc. 7. Fig. 40 daje wymiar spódnicy w której przednim brycie (lit. *a*) górna część środkowa wszyta jest z szyrtyngu, podług miary odznaczonej cienką prostą linijką, kliny boczne stosownie do figury i tuszy są gładkie lub z zaszewkami w górze. Przód i boki mają u dołu wolant 17 centym. szeroki; jak wiadomo, każda fałda z włosiennego materyału musi być zaszyta od spodu przez całą długość, inaczejby odskakiwały nierówno. Tylny bryt *c*, na którym dane są listewki ze stalkami, ma z wierzchu naszyte trzy włosienne falbany 24—27 cent. szerokie. Część *d* na fig. 40, oznacza wymiar mniejszego trenu, wskazanego na ryc. 6, zaś litera *e* przedstawia tren większy, u dołu i z boków oszyty riuszą 9 cent. szeroką. Oba treny wszywają się w paski po 22 cent. długie opatrzone dziurkami, do przypinania na guziki przyszyte do spódnicy. Boki są także podszyte listewką z dziurkami do przypinania trenu, jak to objaśnia ryc. 6 i 8.

N. 10—11. Przykrycie na poręcz od sofy. Patrz fig. 44 tudzież ryc. 8 i 9 w N-rze 6.

Wyszycie dane jest ściegiem jednakowym na obie strony, o tyle praktyczniejszym od znanego dotychczas, że nie wymaga liczenia nitek lub kratkowanego materyału, lecz wyszywa się wprost po deseniu narysowanym na tle, jak to objaśni ryc. 8 w N-rze 6, przedstawiająca w naturalnej wielkości wyszycie dobrym do prania ponsowym jedwabiem, na tle z grubego płótna, ściegiem równej wielkości, dawanemi w rzędach tam i napowrót. Wszystkie ściegi wewnątrz kwiatów i liści, tudzież w łodyżkach najlepiej wyszyć w rzędzie od ręki prawej ku lewej, jak to widzimy na ryc. 8, tak iż wracając, dopełnia się tylko kontury. Łączenie kwadratów pasami kratki ażurowej wskazuje ryc. 10; kratkę trzeba rozliczyć stosownie do grubości płótna; ryc. 11 jest przedstawiona tak dokładnie, że ułatwi wiązanie kratek jedwabiem ponsowym i białą bawełną. Koronkę do oszycia można odrobić podług ryc. 9 i fig. 48.

N. 12. Fartuszek z przemarszczaniem.

Potzzeba na niego bryta prostego 54 cent. szerokiego, 66 długiego, w górze i u dołu lekko zaokrąglonego; model był z czarnego jedwabnego repsu. Dolny garnirunek stanowi falbanka haftowana 12 cent. szeroka, wyżej zaś dany wolant złożony w podwójne kontrafałdy w górnej połowie przemarszczony drobno pięć razy, przyszycie wolantu przykrywa wązka pliska dana kilkakrotnie w około brzegów fartuszka, w odstępach 1 cent. Plastron górny przemarszcza się w trzy grupy po 4 cent. wysokie a 3 i pół szerokie zaczynając marszczyć w środku na 8, z boków na 4 cent. odstępu od górnego brzegu, ułożonego w kontrafałdy. Przy przemarszczaniu dane są wzdłuż małe przecięcia do przewleczenia wstążki 4 cent. szerokiej, zastępującej pasek, z boków zakończonej kokardami.

N. 13—14. Fartuszek ze szlakiem tkanym ręcznie.

Uszyty z bryta cienkiego szarego płótna, 100 cent. długiego, 60 szerokiego, wywiniętego w górze na 28 cent. długości; na złożeniu przymarszcza się dwa razy do 30 cent. szerokości i nawłóczy sznurem zakończonym kwastami. Szlak tkany ręcznie na warsztaciku przedstawiony na ryc. 14, odrabia się z bawełny écru i ponsowej i z wązkiej białej plecionki. Opis szczegółowy roboty tkackiej podaliśmy w roku przeszłym w Tygodniku Mód.

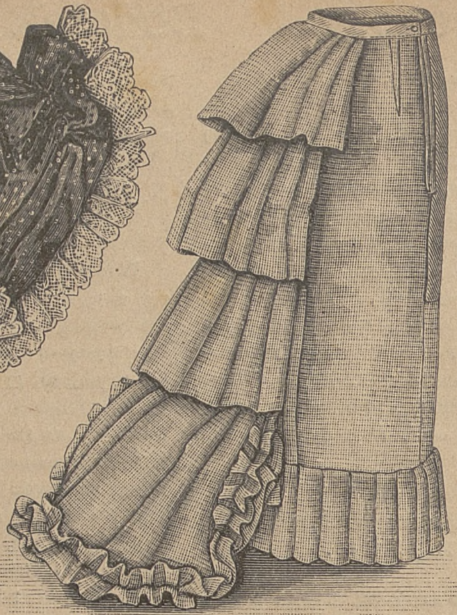
N. 16, 18—19, 32—33 i 41. Kostjum rumuński. Krój na arkuszu N. X, fig. 41—43.

Ryc. 32 i 41 przedstawiają strój rumuński odpowiedni na zabawę kostjumową; ażeby przedstawił się efektownie, musi być ozdobiony kolorowym haftem, danym na spódniczce, bluzie i fartuszku. Ponieważ wyszycie takie można zastosować przy różnych robotach, podajemy je na rycinach 16, 18—19 i 33, tudzież na ryc. 6—7 w N-rze 6. Deseń wyszywa się po większej części ściegiem krzyżykowym i łańcuszkowym, kolorową włóczką crevel i kordonkiem; blaszki złote przytwierdza się nitką złotą lub żółtym jedwabiem. Dla ułatwienia obliczania deseniu podkłada się kanwę, którą trzeba wy-

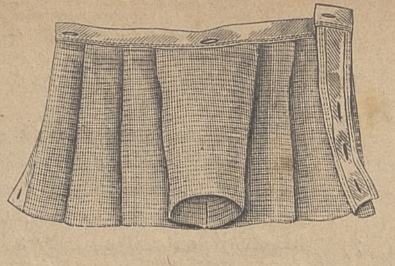
siepać przed wyszyciem ściegu łańcuszkowego. Spódnica do kostjumu ryc. 32 uszyta była z gazy płóciennej, ze szlakiem czarnym z ponsowym, wyszytym podług ryc. 33. Bluzka wyszywana była także czarno i ponsowo z dodaniem nitki złotej; fartuszek przysłaniający przód i tył spódnicy, był z czarnego wełnianego kiprowanego materyału, prawie całkowicie pokrytego wyszyciem; wszyty był w pasek z materyi w ponsową kratkę, zapięty na baftki, z boku związana szarfa z torsady jedwabnej w deseń ponsowy, niebieski i złoty, zakończona u dołu kwaśicikami z brzegów oszyta perłami.



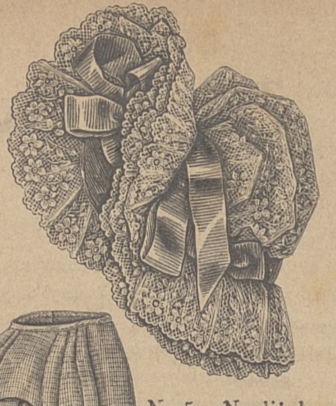
N. 4. Negliżyk z materyi.



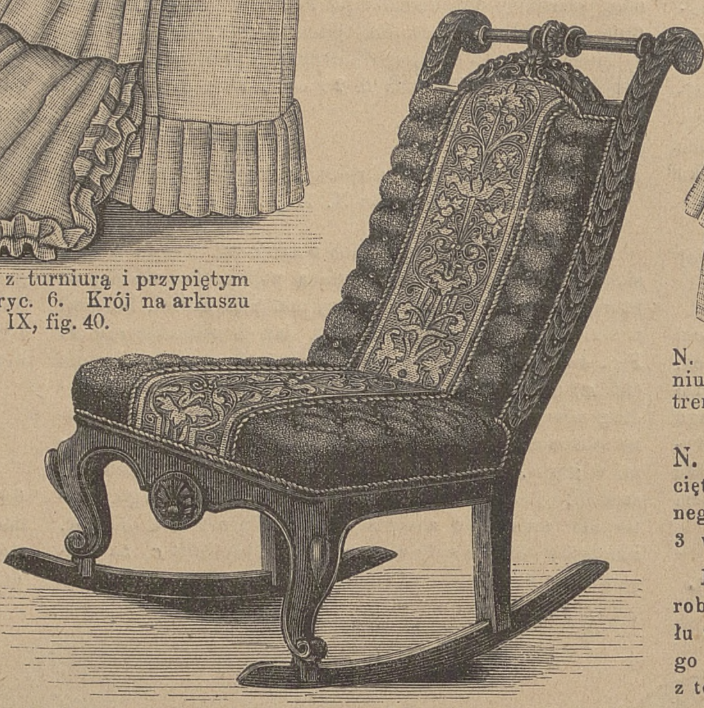
N. 7. Spódnica z turniurą i przypiętym trenem. Patrz ryc. 6. Krój na arkuszu N. IX, fig. 40.



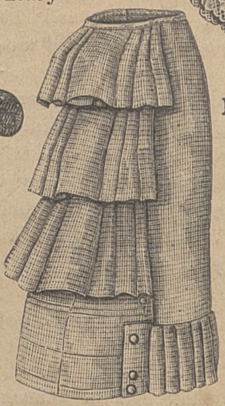
N. 6. Tren przypinany do turniury ryc. 7. Patrz ryc. 8.



N. 5. Negliżyk koronkowy.



N. 9. Krzesło na biegunach. Aplikacya i opis na arkuszu z krojami N. 1 i fig. 45.



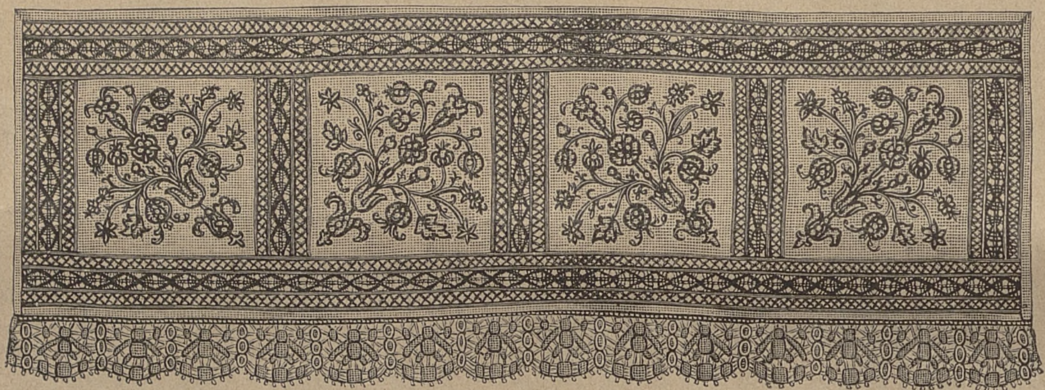
N. 8. Spódnica z turniurą bez przypiętego trenu. Patrz ryc. 6—7.



N. 12. Fartuszek z przemarszczeniem.

N. 20. Wachlarz do ubrania balowego. Deseń patrz fig. 46.

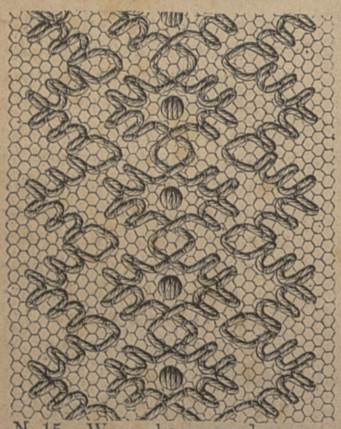
Oprawa wspaniałego wachlarza wyrobiona z konchy perłowej, bogato nakładanej złotem; górna część dana z gazy białej zakończona szeroką koronką. Koronkę naśladującą prawdziwą points można odrobić ręcznie, fig. 46 daje deseń na koronkę z brzegiem prostym, do wachlarza zaś tło tiulowe wycięte jest w zęby; przyszycie koronki na gazie daje się nitką wysiepaną z takowej.



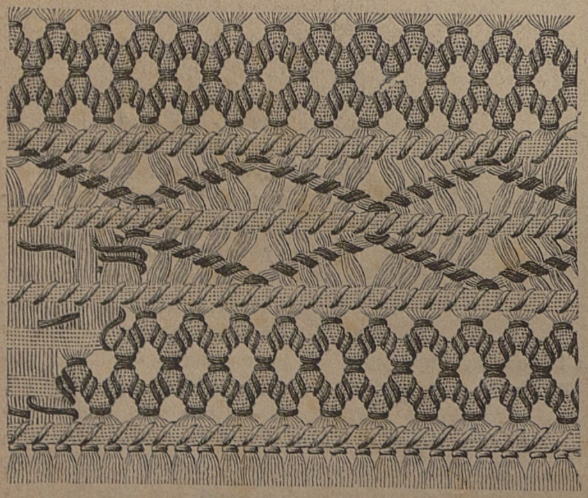
N. 10. Serweta na poręcz od sofy. Patrz ryc. 11 i fig. 44.

N. 21—22. Wachlarze z piór.

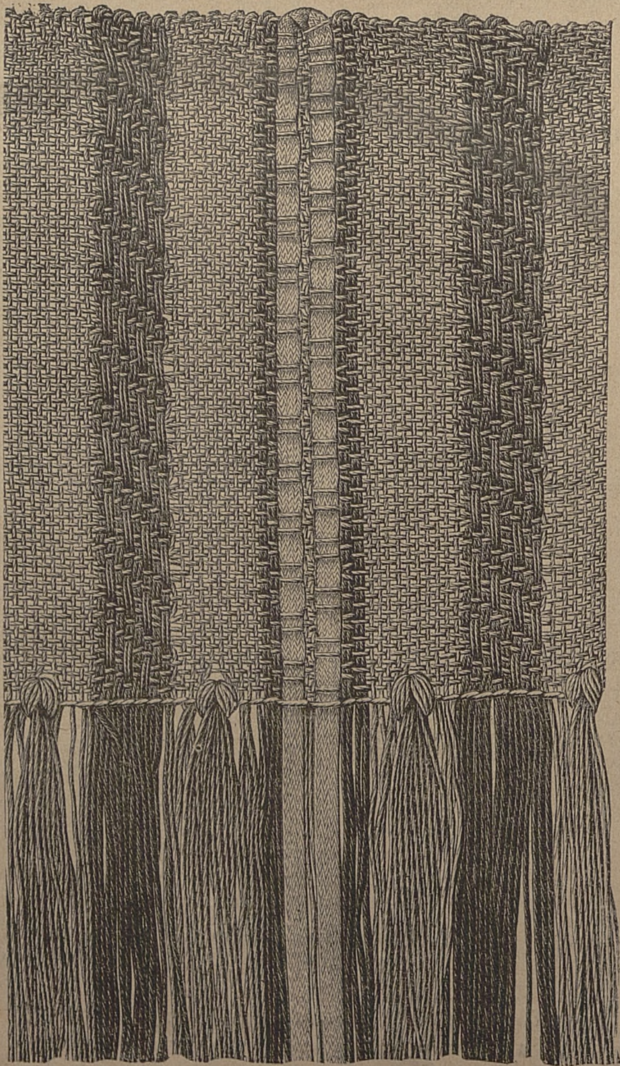
Obadwa wachlarze odrobione są z różnego rodzaju piór; ryc. 21 przedstawia wachlarz z długich piór gładkich i krótkich fryzowanych, koloru ognisto czerwonego, w oprawie z drzewa żółtego, politurowanego; długie pióra zdobią kwiaty malowane.



N. 15. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 11. Kratka ażurowa do ryc. 10.



N. 14. Szlak robotą tkacką do ryc. 13.

Wachlarz ryc. 22, zrobiony był z piór długich strusich i krótkich fryzowanych, koloru blado-niebieskiego, w oprawie popielatej drewnianej, ozdobionej srebrem.

N. 23. Kokarda z gałązką kwiatów.

Z wstążki ottoman 9 cent. szerokiej, wzdłuż jednego brzegu na frandzelkę wystrzępionej, zrobione są trzy pukle zakończone w górze gałązką róż głogowych. Takie kokardy stanowią najmodniejsze przybranie wieczorowe dla młodych osób.

N. 24. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Krój podług ryc. 3 w N. 33 z r. 1884.

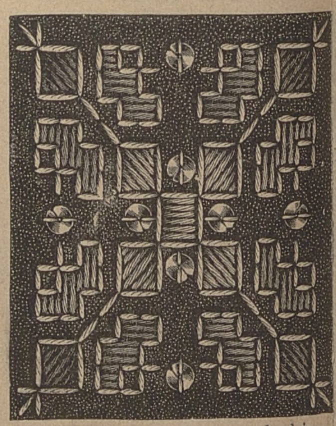
Model sukienki odrobiony był z materyału wełnianego gładkiego i w drobny rzucik; z tego ostatniego dane były patki przy kieszonkach, kołnierzyk 7 cent. szeroki, przedłużony w kształcie ranwersów 6 cent. długich, przy wstawionym z przodu plastronie, na któren trzeba z dwóch kawałków 38 cent. długich, a 29 szerokich deseniowego materyału, przemarszczonych kilka razy do 12 cent. szerokości, a u dołu wolno spuszczonych. Długość sukienki dopełnia wolant 16 cent. szeroki, ułożony w kontrafałdy.



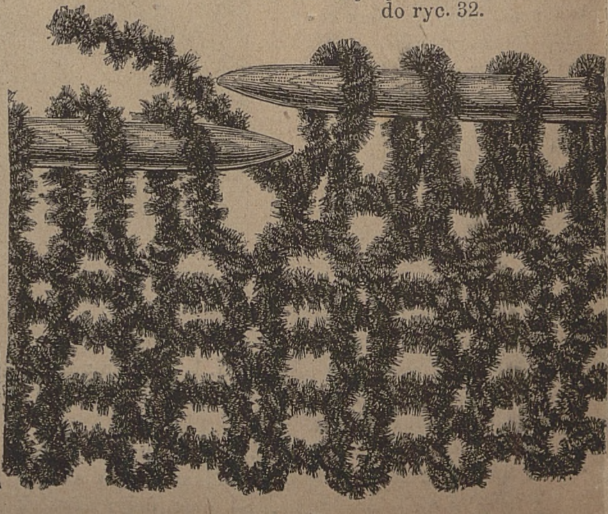
N. 13. Fartuszek ze szlakiem tkanym ręcznie.

N. 25—26. Sukienka pod szyję dla dziecka rocznego. Forma na arkuszu z krojami N. VII, fig. 23—37.

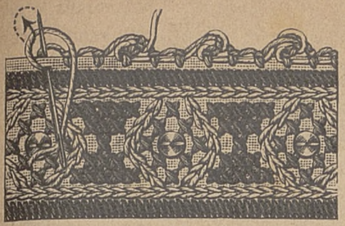
Rycina 25 i 26 przedstawia sukienkę z przodu i z tyłu, oszytą odmiennie taśmą. Cienka linijka na figurze 38 wskazuje



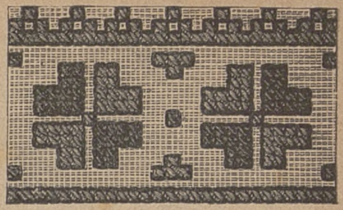
N. 16. Wyszycie ściegiem płaskim, do ryc. 32.



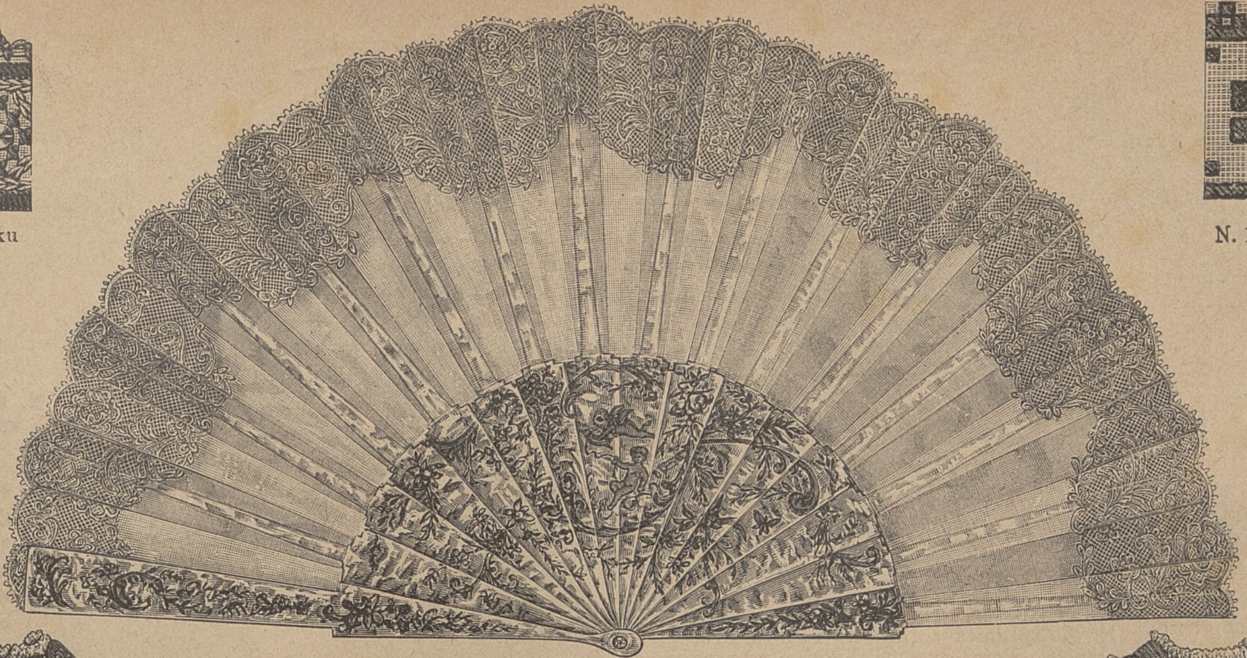
N. 17. Robota na drutach, do ryc. 1 w N-rze 6.



N. 18. Wyszycie na kołnierzyku do bluzki ryc. 32.



N. 19. Szlaczek krzyżykowy.



N. 20. Wachlarz do ubrania balowego.



N. 24. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka. Krój podług ryc. 3 w N. 23 z r. 1884.



N. 25. Sukieneczka pod szyję. Patrz ryc. 26. Krój na arkuszu N. VII, fig. 33—37.



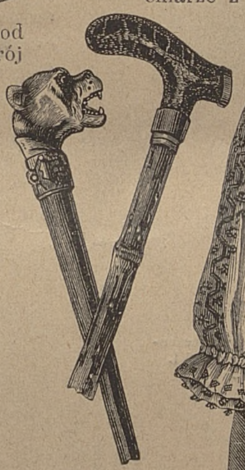
N. 21—22. Dwa wachlarze z piór.

N. 23. Kokarda z gałązką kwiatów.



N. 26. Sukienka pod szyję dla dziecka rocznego. Przód na ryc. 25, krój N. VII, figury 33—37.

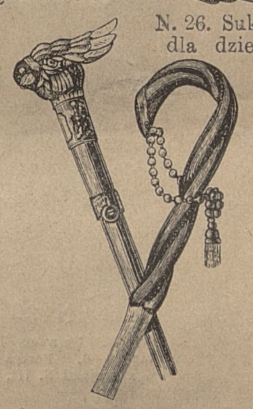
N. 27. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Krój podług ryc. 3 w N. 23 z r. 1884.



N. 28—29. Dwie laski do parasoli.



N. 32. Kostium rumuński. Zobaczyć przód na ryc. 41. Szczegóły na ryc. 16, 33 i na ryc. 6—7 w N. 6.



N. 30—31. Dwie laski do parasoli.

w jaki sposób wyciąć trzeba u dołu podszewkę z pod wstawionej z przodu części, którą daje się z 50 cent. szerokiego kawałka materyału, złożonego w dwie 6 cent. szerokie podwójne kontrafałdy. W środku dodaje się z oddzielnego kawałka kontrafałdę urządzoną w górze do zapinania na guziki, poniżej przepiętą paskiem 2 cent. szerokim, a u dołu podszytą podszewką, luźno puszczoną i złączoną z częścią spódniczkową, 16 cent. szeroką, ułożoną w koło w podwójne kontrafałdy, na którą zachodzą 7 c. luźno puszczone przody.

N. 27. Sukienka wycięta dla dziecka rocznego. Forma jak do ryc. 24.

Najpierw przykroić trzeba podszewkę gładką, następnie zwierzchni materyał mający razem ze spódniczką 59 cent. długości a 175 szerokości, złożyć w koło w kontrafałdy 4 cent. szerokie, a następnie przykroić podług dopasowanej i zeszytej podszewki. Część spódniczkową poniżej podszewki w stanie podszywa się oddzielną podszewką z którą spuszcza się razem w niezaszyte kontrafałdy. Szarfę 18 cent. szeroką a 140 c. długą, przytrzymują z boków patki 10 c. długie, a 3 c. szerokie szpiczasto zakończone.



N. 34. Suknia z fałdowaną draperyą. Przód na r. 3.

N. 35. Płaszczyk długi z szerokiemi rękawami. Forma i plecy na dodatku z krojami N. VIII, fig. 38—39.

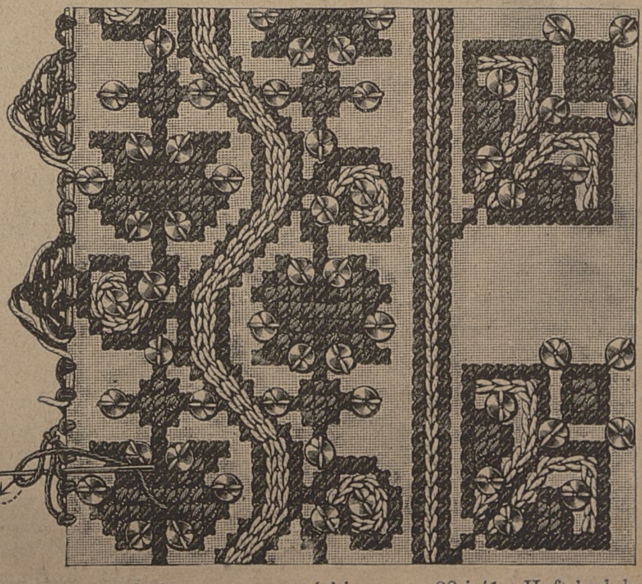
Podług formy naturalnej wielkości do ryc. 39 i 40 w N-rze 47 z r. 1884, łatwo można przykroić płaszczyk ryc. 35, nie dodając części kaftaniczkowych i zaszewek oznaczonych cienką linijką; małe zmiany kroju wskazujemy na fig. 38. Model płaszczyka odrobiony był z czarnego „velours-frisé“ na watowanej podszewce, z materyału mienionego czerwono z zielonym. Części wstawione w przody, których model dajemy pod lit. *a* na figurze 38, kraje się z gładkiego aksamitu i składa w trzy do środka zwrócone fałdy; z takiegoż aksamitu są wyłogi przy rękawach i kołnierzyk stojący. Przody zapinają się na kryte haftki; pod spięciem kołnierza i z tyłu na wszyciu fałd piękne pasmanteryjne ozdoby.

N. 36—37. Uczesanie włosów w węzły.

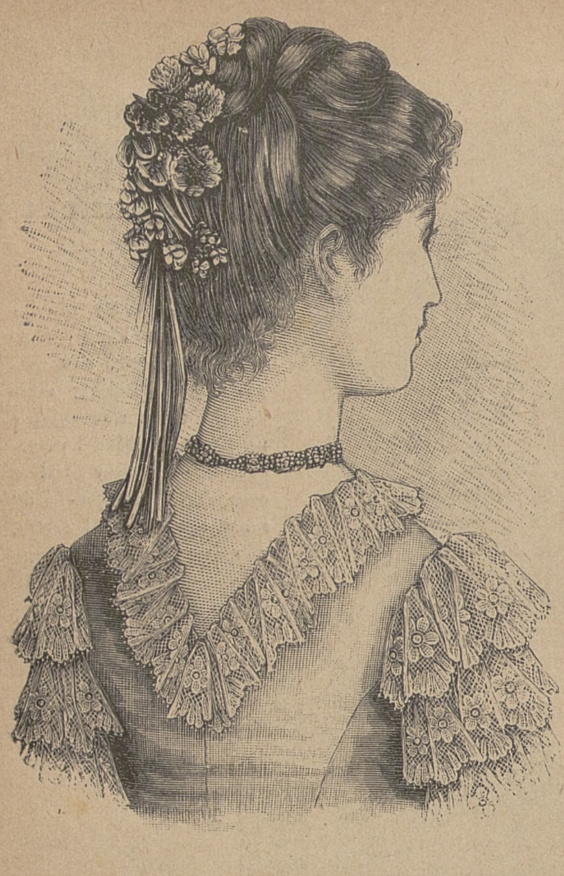
Podane na ryc. 36 uczesanie wymaga długich włosów, które jednak można zastąpić dodatkowemi promieniami. Najpierw trzeba na czubku głowy zapleść cienki warkoczyk, któren zwinięty w szlimak stanowi podstawę do której przypina się ułożone węzły. Wązko oddzielone włosy z przodu odczesuje się w górę na małych podkładkach; wszystkie pozostałe włosy dzieli się z tyłu poprzecznie na dwie połowy, z których górną rozdziela się na trzy równe promienie, te skręca się każden oddzielnie gładko i mocno i wiąże w węzeł wakazany na ryc. 37. Wszystkie trzy węzły upina się mocno jeden przy drugim wysoko do przodu na głowie. Dolną część włosów podczesuje się w górę gładko,



N. 35. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój i widok pleców N. VIII. fig. 38—39.



N. 33. Szlak do kostjumu rumuńskiego ryc. 32 i 41. Haft k ololorami i blaszkami, służyć także mający do serwet, poduszek i t. p.



N. 36. Uczesanie włosów w węzły. Zobaczyć taki węzeł na ryc. 37.

a wszystkie pozostałe końce włosów chowa się pod węzłami; mały wianeczek z drobnych kwiatów musi być przypięty z tyłu.

N. 39. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8. Forma na dodatku z krojami N. III, fig. 18—23.

Przy czarnem aksamitnem ubraniu, majtki trochę dłużej przykrojone, zapinają się mocno poniżej kolan i fałdzisto wznoszą się w górę. Dolny brzeg majtek wszyć trzeba w pasek 3 cent. szeroki, do którego przyszyte są przy szwie zwierzchnim szprzączki. Stanik spodni wszyty jest pod szyją w wązki pasek, a z przodu ma dodany bufiasty żabot z białego batystu albo z materyi. Zeszycie majtek ze stanikiem przykrywa szeroka jedwabna fałdowana szarfa bez końcy, zapięta z tyłu. Duża krawatowa kokarda z batystu.

N. 40. Ubranie dla panienki lat 11—13. Model kroju i widok pleców na dodatku z krojami N. VI, fig. 28—32.

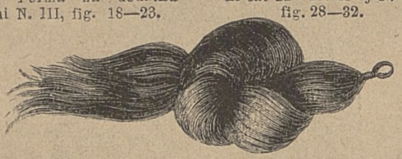
Na spódniczce mającej z przodu 84, z tyłu 88 cent. długości, naszyte są dwa plisowane 34 cent. szerokie wolanty, ozdobione trzema 3 i pół cent. szerokiemi zakładkami. Model kroju tuniki dajemy na fig. 32; bryt przedni *a* trzeba w górze wszyć gładko w pasek a z boków sfałdować do 18 cent. długości, bryt tylny *b* trzeba najpierw, podług cienkich linijek, od dołu i z jednego boku zakończyć obrąbkiem 3 cent. szerokim, z drugiego boku i w górze sfałdować podług krzyżyków i kropek i wszyć w pasek od spódnicy, a części pozostałe pomiędzy dwoma gwiazdkami, złożone w pukiel luźno spuścić. Staniczek przykroić podług dopasowanej formy, a części kamizelkowe odrobić oddzielnie i pod przodami przyszyć.



N. 39 -40. Ubrania dziecinne.

N. 39. Ubranie dla chłopczyka lat 6—8. Forma na dodatku z krojami N. III, fig. 18—23.

N. 40. Ubranie dla dziewczynki lat 11—13. Krój N. VI, fig. 28—32.



N. 37. Pojedyńczy węzeł do ryc. 36.



N. 38. Czepeczek do kostjumu Małgorzaty ryc. 42. Forma na dodatku z krojami N. V, fig. 26—27.

N. 42 i 38. Kostjum Małgorzaty z Fausta. Model kroju N. IV, figury 24—25 i N. V, figury 26—27.

Ładne ubranie, zwłaszcza dla młodych blondynek korzystne na bal maskowy, stanowi kostjum Małgorzaty, ktoren niewielkim kosztem łatwo odrobić można z białego kaszmiru z plisami z materyi niebieskiej, albo z blado-niebieskiej materyi z aksamitem szafirowym lub czarnym. Wyglądającą z pod zwierzchniej podniesionej z przodu sukni część spódniczki, pokryta była blado-niebieskim adamaszkiem wyszytem złotem. Koszulka biała batystowa; kieszonka z ciemno-bronzowej skóry, z ozdobami szmuklerskiemi zawieszona na takimże pasku, spiętym klamerką złotą. Czepeczek aksamitny z jedwabną podszewką, przykrojony podług fig. 26—27, oszyty jest z brzegów torsadką złotą i ozdobiony haftem filigranowym, złotym i srebrnym.



Kostjum rumuński. Zobaczyć plecy na ryc. 32, wzory haftu na ryc. 16, 18, 33 i na ryc. 6 i 7 w N-rze 6.



N. 42. Kostjum małgorzaty z Fausta. Zobaczyć ryc. 38. Krój N. IV, fig. 26—27.